№ 39. Warszawa, dnia 13 (25) Września 1875 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

ŚWIAT SERDECZNY

POWIEŚĆ

przez

Waleryą Marrené (Morzkowską).

(Dalszy ciąg).

Posłano też przez Józię herbaty Eligji, ale ta odniosła ją nietkniętą, mówiąc że starsza siostra prosi do siebie kuzynkę.

Wówczas dopiero pan domu uznał za stosowne zapytać o chorą.

— Cóż to czy Elci gorzej?

— Spytaj o to twojej siostrzenicy, odparła żona z tłumionem oburzeniem.

— Dla czegóż mam ją o to pytać.

— Bo ona znalazła Elcię bardzo chorą, i dziwiła się że nie wzywano doktora.

— Aha, jużeście ją przekabaciły na swoje babskie kaprysy, powiedziałem raz że na doktora mnie nie stać, piszcie sobie do pana Feliksa jeśli chcecie.

— Ależ mój mężu nie mamy żadnego prawa.

— Już to wasza rzecz nie moja, rozumne kobiety umieją wszystko zrobić zręcznie i stosownie—ale wy...

Dokończył tego komplementu wyraźnem wzruszeniem ramion.

— No cóż tam z tym wieczorem? zapytał po chwili korzystając z nieobecności Stasi.

— Będzie wszystko jak chciałeś.

— Pamiętajcie że ja dam tylko salon, oświetlenie i herbatę, zresztą radźcie sobie jak chcecie.

— Moja matka daje wino, ciasta i muzykę.

— Znam ja ją dobrze, wiedziałem że to zrobi, no tylko żebym wstydu nie miał, jak gości zaproszę, żeby mi wino było dobre i muzyka nie ostatnia, bo bym wam tego nigdy nie darował.

Były to szczególne rozkazy, przecież żona słuchała ich w milczeniu, przyzwyczajona snać do podobnych rzeczy.

— A czegóż to Elcia znowu kaprysi, pytał dalej ojciec.

— Elcia na prawdę chora — a zresztą czyż się nie ma czego martwić? Tyle jej rzeczy potrzeba.

Pani Pelagija ze swojej strony starała się dyplomatycznie wyzyskać chorobę córki. A ponieważ to zdarzało się nieraz, niewiara pana Kalasantego w choroby rodziny, była poniekąd usprawiedliwioną.

— No czegóż jej tam znowu potrzeba?

— Elcia nie ma szarfy do sukni.

— Szarfy, no proszę, szarfy, kto to dawniej słyszał o szarfach? Na, masz 10 rubli a niech już więcej nie słyszę ani o kolacyi, ani o szarfach, ani o chorobie, niech mi jutro dziewczyna będzie zdrowa, rozumiesz?

— Ależ mój mężu, zawołała uradowana Pelagija, chowając skwapliwie pieniądze, Elcia jest rzeczywiście chora.

— Jeśli jeszcze dostawszy szarfy będzie chora, to ja ci powiem co jej jest, chce żeby ją leczył pan Feliks, inna matka by się dawno domyśliła, ale ty....

Znowu złajana żona spuściła oczy, po chwili jednak odparła.

— Uważałam ja dobrze iż pan Feliks stara się podobać Elci, ale...

— Ale cóż...

— Doktór, bez majątku.

— Ha cóż, to Elcia księżniczka, zapominasz jak widzę że mamy sześć córek, że muszę ich żywić i ubierać, to nie mały ciężar. Jeśli tylko pan Feliks chce jedną z nich zabrać będę mu bardzo obowiązany. Niech bierze byle prędzej, Elcia ma więcej rozumu od ciebie a może i ta jej choroba nie głupia, tylko trzeba umieć z niej korzystać.

— Pan Feliks obiecał powrócić na twoje urodziny.

— Tem lepiej, tylko jeśli się ma żenić, niech się żeni zaraz, konkurent w domu to rzecz kosztowna i nudna.

Na tem zakończyła się narada małżonków, a raczej instrukcye i rozkazy dawane przez domowego tyrana, swojej pierwszej służebnicy.

Nazajutrz rano dziewczyny oczekiwały z bijącem sercem zapowiedzianego przybycia babki.

Około godziny dziesiątej, weszła do mieszkania Drobińskich staruszka z zafrasowaną twarzą. Był to prawdziwy typ minionego wieku i lat poczciwie przeżytych. Pani Anna Sitowiczowa kochała córkę swoją Pelagiję ślepo, nieograniczenie a w dalszym ciągu tak samo kochała wnuczki nie umiejąc im zgoła nic odmówić, nawet najnierozsądniejszej fantazyi.

Wprawdzie małżeństwo córki nie zupełnie było po jej myśli, przecież nie umiała mu się sprzeciwić a dziś chociaż widziała dobrze iż pożycie Drobińskich nie odpowiadało bynajmniej ideałowi, jednakże pani Anna zdawała to na Boga, wiedziała z doświadczenia że nie same róże kwitną na świecie, że życie bywa nieraz gorzkie i twarde, nie narzekała więc i nie przyszło jej na myśl by dolę tę odmienić było podobna. Tylko sama starała się łagodzić ją o ile mogła obracając na ten cel oszczędności jakie tylko ze szczupłych funduszów uczynić można.

Pan Kalasanty zwyczajem swoim matkę żony obrachował dokładnie i wyzyskiwał systematycznie jak wszystkich tych co go otaczali bez najmniejszego skrupułu. Zaczęły się więc konferencye i narady nad owym wieczorem, który dla trzech pokoleń kobiecych przybierał kolosalne rozmiary rzeczy koniecznej, niezbędnej, nieobrachowanej ważności, rzeczy godnej nieskończonych zabiegów, walk i trudów.

Stanisława tej pierwszej nocy spędzonej w domu Drobińskich, spała bardzo mało. Naprzód Eligija

przywłaszczyła ją sobie nieledwie, z despotyzmem chorego rozpieszczonego dziecka: powtóre, położenie nowe w jakiem się znalazła, kazało jej myśleć o sobie. Marzenia jej były skromne, pragnęła tylko zapracować sobie na chleb powszedni i nie być nikomu ciężarem. Zresztą umiała sprawiedliwie ocenić własne siły. Los, smutne okoliczności, choroba matki a następnie ojca nie pozwoliły rodzicom dać jedynej córce tej gruntownej naukowej podstawy na której nauczanie opierać się musi, Stasia więc nie mogła pójść drogą, jaką idą zwykle dziewczęta w jej położeniu, nie mogła być guwernantką, a lekcye zdołałaby zaledwie początkującym dzieciom udzielać. Zretą miała może osobiste powody szukania niezależnego chleba i dla tego zaopatrzyła się w kilka polecających listów.

Wszystko to powiedziawszy sobie tysiączny raz tego rana, zaraz wstawszy po nocy bezsennej postanowiła iść natychmiast probować szczęścia.

Eligija jak zwykle w chorobach powolnych i nieokreślonych była zdrowszą rano, a cała zajęta nadzieją wieczoru i powrotu pana Feliksa zapomniała o smutnych wczorajszych przeczuciach.

W domu więc Drobińskich panował ruch nadzwyczajny a Stasia korzystając z tego, wzięła kapelusz i okrycie i wyszła na miasto.

Pierwszy to raz była w Warszawie i spoglądała ze zdziwieniem i ciekawością na piękne gmachy, na olśniewające sklepowe wystawy, i na tłum różnobarwny przebiegający ulice.

Był to znowu piękny dzień wiosenny, niebo i słońce uśmiechały się do ziemi, ziemia w zamian jaśniała zielenią i kwieciem, a rzeźwiące powiewy nawet w murach miasta dolatywały z odległych pól i ogrodów. To prawdziwe święto natury znajdowało odbicie w piersiach ludzkich. Stasia czuła się pokrzepioną na duchu i spokojną w swojem skromnem żałobnem ubraniu, przesuwała się wśród strojnych tłumów, nie olśniona zbytkiem, nie strwożona samotnością dążąc we wskazanym sobie kierunku, gdy nagle usłyszała przyjazny wykrzyknik.

— Ah! nie mylę się to panna Stanisława.

Podniosła głowę skwapliwie uderzona dźwiękiem dobrze znanego głosu. Przed nią stał młody człowiek, szczupły, blady, o wielkich czarnych oczach i energicznych rysach jaśniejących teraz prawdziwą radością.

— Pan Jan! zawołała nawzajem.

To serdeczne pełne prostoty powitanie odbywające się na Krakowskiem Przedmieściu, byłoby zapewne zwróciło ogólną uwagę, gdyby skromny strój dwojga młodych ludzi nie chronił ich niejako przed ciekawością tłumu. On i ona byli niczem w oczach tak zwanego świata, te dwa pyłki, dwa atomy pochodzące wyraźnie ze sfer pracy, nie mogły mieć żadnego znaczenia a ich szczere powitanie dowodziło tylko zwykłej u podobnych ludzi nieświadomości form przyjętych.

— Więc pan jesteś w Warszawie, mówiła młoda dziewczyna, nie tając wcale radości jaką jej to spotkanie sprawiło, i nie uważając pewno że uniwersytecki mundur Jana był wytarty, a czapeczka wiele straciła z pierwotnej świeżości.

— Tak jest, panno Stanisławo, nie ma przyszłości bez nauki, musiałem więc rzucić wszystko inne i dostać się tutaj.

— I uczysz się pan, spytała patrząc na niego z rodzajem zazdrości.

— Uczę się i pracuję na siebie a to zostawia mi mało wolnego czasu, z resztą pani wiesz dobrze że jestem sam na świecie.

— To tak jak ja, szepnęła smutnie.

Jan spojrzał na jej żałobną suknię i zrozumiał to czego mu nie dopowiedziała.

—Jesteśmy sierotami oboje, wyrzekł, może też jedno drugiemu pożytecznem być może.

Stasia wstrząsnęła głową.

— Niestety ja nikomu pożyteczną być nie potrafię.

— Nie mów tego panno Stanisławo, zawołał, ja zaraz czuję się weselszym, szczęśliwszym od chwili gdym cię zobaczył. Gdybym też ja w zamian, mógł ci się na co przydać. Czy dawno jesteś w Warszawie, czy na długo?

— Może na zawsze, ty panie Janie szukałeś tutaj pracy i nauki, a ja pracy tylko.

— Ty panno Stanisławo, a ów bogaty krewny do któregoś się zgłaszała.

Na te słowa twarz dziewczyny zapałała.

— Nie mów mi pan o nim nigdy, szepnęła.

— Dla czego?

— Może kiedy powiem ci to panie Janie, dzisiaj.... teraz nie mogę, nadto ludzi na nas patrzy, są wspomnienia nadto bolesne.

— Ale gdzież teraz jesteś pani.

— Gdzie! powtórzyła, na łasce losu, a łaska ta mi dolega. Jak ja dla pana tak pan nic dla mnie uczynić nie możesz.

Mówiła to smutnie i poważnie, spoglądając na oblicze młodego człowieka na którem leżała przedwczesna dojrzałość.

On patrzał na nią z nieopisanym wyrazem troskliwości.

— Dawno bardzo nie widzieliśmy się panno Stanisławo, wyrzekł nieco drżącym głosem.

— O! zawołała z wybuchem, wielem ja przeszła od tego czasu.

— Rozumiem panią, szepnął mimowoli prawie ściskając jej rękę, straciłaś najlepszego ojca, pamiętaj pani żem ja kochał go także.

— Straciłam go, wyrzekła stłumionym głosem, ale on umarł z nędzy, z braku właściwego posiłku, z braku pomocy — a ja — ja wiedziałam o tem — i zarobić nie mogłam— i wyżebrać nie umiałam. Panie Janie to gorzkie, to straszne wspomnienie, on umarł nie z lat, nie z choroby — ale z niedołęztwa mego....

— A mnie tam nie było, zawołał młody człowiek z tłumioną gwałtownością.

Spojrzała na niego z ponurą rezygnacyą.

— I cóżbyś pan był pomógł, wyrzekła, czy sądzisz żeś kochał go więcej ode mnie. Nie łudźmy się daremnie, jesteśmy bezsilni, zrozumiałam to aż nadto.

Chwilę milczała z pochyloną głową, jakby przygnieciona tem uczuciem.

Młody człowiek postępował obok niej, widocznie podzielając cierpienie.

— Panno Stanisławo, wyrzekł wreszcie, takiemi nie pozostaniemy zawsze, bądź spokojna, ja muszę wywalczyć przyszłość.

— Nie wątpię o tem, ja także postanowiłam zdobyć sobie niepodległość, nie lękam się pracy — ale tymczasem — on umarł.

— I cóż pani zamierzasz, spytał, chcąc skierować jej myśli od niepowrotnej przeszłości, do tego jutra w które ufała.

— Ja chcę jakiej bądź roboty, wyrzekła, coby mi zapewniła chleb pewny, chleb nieproszony, a taką znaleść powinnam. Pan co innego, pan pewno sposobisz się na doktora, na prawnika, masz wszystkie zawody otwarte.

— Nie chcę być ani jednym ani drugim, panno Stanisławo, patrz na moje ręce, nawykły one do kowadła i stali, pracuję w warsztatach fabryki machin, to daje mi tymczasowy zarobek i wprawę konieczną, sposobię się na inżyniera technika, więc słucham jednocześnie kursów które mi są potrzebne. Spowiadam się przed panią z moich zamiarów i nadziei, czy nie zechcesz być równie szczerą.

Była czuła prośba w jego głosie.

— Ja, odparła Stasia nie mam się z czego spowiadać, oto list polecający do właściciela wielkiej drukarni, w której może zechcą przyjąć mnie jako zecerkę, ale trzeba mi wprzódy nauczyć się rzemiosła.

— Masz dobry zamiar panno Stanisławo, oby ci się tylko powiodło.

— Jeżeli nie, to w takim razie zgłoszę się do szewca, lub introligatora, chwycę się pierwszego lepszego rzemiosła, byle samej sobie wystarczyć.

— Masz słuszność pani, naprzód, naprzód, uczmy się dźwigać ciężar własnego bytu, bo wówczas tylko możemy być użyteczni drugim, i przydatni na coś tym których kochamy.

Mówił to z tłumionym zapałem co zamigotał mu w blasku źrenicy i wywołał blady rumieniec na przewiędłe lica.

— Panno Stanisławo, szepnął, oh! żeby ten czas prędzej nadszedł.

— Nie zapominaj pan, że pierwszym warunkiem powodzenia, jest cierpliwa wytrwałość.

— Pani zawsze umiesz dodać mi odwagi i bodźca, jak wówczas gdy dziećmi bawiliśmy się razem, zakładali sobie z patyczków ogródki, i budowali z kart pałace. Czy pani przypominasz to sobie?

— Jakżebym mogła zapomnieć, zawołała zarumieniona, te najszczęśliwsze chwile dzieciństwa. Ah! jak pan wówczas byłeś dobrym dla mnie, jak uprzedzałeś moje chęci, i odstępowałeś mi zawsze zabawki jakiej zażądałam. Nie jestem niewdzięczną panie Janie, zbyt mało dobrego doznałam na świecie, bym je mogła lekceważyć.

On słuchał ją zachwycony.

— Panno Stanisławo, ja wtenczas byłem także bardzo, bardzo szczęśliwy.

— Byliśmy szczęśliwi oboje, odparła z prostotą, ale teraz kiedy z dzieci wyrośliśmy na ludzi, nie trzeba żeby nam brakło męztwa.

— Nie zbrakło mi go dotąd, a teraz będę go miał stokroć więcej, kiedym panią zobaczył znowu, i wiem żeś o mnie nie zapomniała.

— Czyż mogłeś to przypuszczać panie Janie.

— Nie byłem zarozumiałym, nie miałem z czem powracać do was, do ciebie panno Stanisławo, do twego ojca, albož wiedziałem czy sobie zdobędę przyszłość i miejsce pod słońcem, a dopóki tego nie mam, jakimże prawem mogłem ci narzucać moje wspomnienie. Jam myślał o tobie zawsze, nieustannie, każdej chwili — i myśleć nie przestanę nigdy.

Słowa te wymówione z siłą prawdziwego uczucia, nie wywołały w dziewczynie zwykłego w podobnych razach pomieszania, bo omylić się na ich znaczeniu nie mogła, on ślubował jej życie całe. Może nie było to dla niej nowością, może powtarzał tylko to, o czem ona nie wątpiła nigdy. Szła w milczeniu obok niego, ufna i szczęśliwa, oboje zapominali o czasie. Ona opamiętała się pierwsza.

— Panie Janie, wyrzekła z uśmiechem, mówimy oboje wiele od godziny o pracy i obowiązkach, ale w praktyce zapominamy o tem.

— Bo też dzisiaj jest to tak wielkie, tak uroczyste święto życia, to niespodziane spotkanie.

— Nie mamy jeszcze czasu na święta, szepnęła wstrząsając głową, pan spieszyłeś się, ja także nie powinnam chwili marnować.

— Pozwól tylko, panno Stanisławo, bym cię odprowadził tam gdzie idziesz, bo nie zdajesz mi się bardzo obeznana z Warszawą.

Przystała na to i znowu szli obok siebie, przez tłum strojny różnofarbny, który potrącał ich co chwila i otaczał falą zbytku.

— I kiedyż zobaczymy się znowu? rzekł Jan, widząc że zbliżała się chwila rozstania. Gdzie pani mieszkasz?

— Nie jestem u siebie, odparła, a w domu wuja mego Drobińskiego, u którego zmuszona jestem szukać przytułku, przyjmować pana nie mogę. Trzeba nam tak jak dawniej panie Janie, tylko myśleć o sobie.

Zrozumiał że miała słuszność w zasadzie, przecież zgodzić się nie mógł na tę konieczność.

— Panno Stanisławo, zawołał, to być nie może, sam los nie chce tego skoro nas zbliżył niespodzianie. Ja nie mógłbym dobrze pracować z niepokojem o ciebie, z myślą że potrzebować mnie możesz.

— A więc daj mi pan swój adres, w jakim trudnym, nieprzewidzianym wypadku napisałabym niezwłocznie.

— Przyrzekasz mi to pani?

— Przyrzekam, bo i gdzież indziej, szukałabym rady i wsparcia.

Oczy jego zabłysły, a jednak dodał:

— I nie mamy widzieć się więcej?

Spojrzała na niego smutnym wzrokiem.

— Panno Stanisławo, zawołał, Bóg widzi że wiele nie żądam, chciałbym tylko od czasu do czasu zobaczyć cię choćby zdaleka, i wyczytać z twarzy i oczów, czy nie na zbyt ciąży ci obecna dola. Więc w święto, w niedzielę, kiedy jak dziś słońce świeci, przyjdź o tej samej godzinie w miejscu gdziem cię dziś spotkał, i nie oglądaj się nawet, jeśli sądzisz że ci tak uczynić wypada. Ale gdyby ci było źle, lub smutno, szepnij tylko „Janie“ — a znajdziesz mnie gotowym na twoje skinienie.

Dochodzili właśnie do drzwi domu, gdzie mieściła się drukarnia, do której udawała się Stasia. Ścisnęła rękę swego towarzysza.

— A więc do zobaczenia, szepnęła.

— Do zobaczenia, powtórzył, wpatrując się w miejsce gdzie stała, zanim znikła mu z oczów, niby olśniony cudownem zjawiskiem.

Chwilę jeszcze stał nie mogąc się ztąd oderwać, aż wreszcie wstrząsnął czołem, starając się zapanować nad wzburzoną myślą, podniósł w górę głowę, i odszedł pewnym krokiem, jakby śpieszył na zdobycie tej przyszłości, co miała ziścić jego najdroższe nadzieje.

(d. c. n).

NIE NARZEKAJ.

Trudno walczyć jest z naturą
Że nie wszystko pannom daje,
Tej ołówek, tamtej pióro,
Tej talent, tej obyczaje;
Tej czarowne lica farby,
Tej głos piękny, kibić cudną,
Tej uczucia, serca skarby.....
Chcieć mieć wszystko, trudno, trudno!

Możeszli się mienić biedną,
Kiedy jedno twe spojrzenie,
Jeden uśmiech, słówko jedno,
Niecą silne serc płomienie?
Ale chłopcy pragną więcej,
Wdzięk, wartością zowiąc złudną,
Domagają się tysięcy!...
Ha, mieć wszystko, trudno, trudno.

Graz d. 17 lipca 1875.

J. S. J.

Przy Kolebce!

PRZEZ

Anastazyę Dzieduszycką

(Dalszy ciąg).

Gdy dziecię zna te dwie głoski, nie należy uczyć go nowych, zanim się nie nauczy składać wszelkich zgłosek jakie się z nich złożyć dadzą więc: *ba-ab-bab-baba-abba*. Poczem uczy się je nowych głosek, prędzej postępując w nauce samogłosek, jako urozmaicających niezmiernie ćwiczenie zgłoskowania i zawsze składając ze znajomych już głosek, wszelkie możliwe zgłoski i wyrazy. W ten sposób postępując uczy się dziecię czytać prędko i chętnie widziałam dzieci, które złożywszy w ten sposób wyraz po nauczeniu się zaledwie kilku głosek podskakiwały z radości, bo nie zrażone nudną wstępną nauką, szybko zbierały niewielkiego trudu owoce, a nadto odrazu uczą się i alfabetu i zgłoskowania trafnego, to jest wszystkich potrzebnych im w późniejszym czasie nauk posiłkowych. Elementarz Jeskiego wybornie się nadaje do tej metody, zarzucić mu tylko można że wyrazów nie dzieli na zgłoski, wyraźnemi znakami co wielce ułatwiałoby naukę i dziecku pozwalało samemu w czytaniu się ćwiczyć. Za zasługę przeciwnie poczytać mu należy że uniknął często w naszych elementarzach powtarzanego błędu, zaczynania od wyrazów jedno zgłoskowych, które w naszym języku do najtrudniejszych należą np. *chrzest, chwast, trzask*. Chcąc się posłużyć elementarzem Jeskiego przy nauce bardzo małego dziecka, należy jedynie opuścić ćwiczenia wstępne o brzmieniach, zbyt trudnych, pozostawiając sobie na czas właściwszy powrót do nich.

Oto teoretyczny zarys metody nauki czytania którąbym radziła każdej matce, lecz każda metoda dobrą jest o tyle tylko, o ile jest umiejętnie zastosowaną, o zastosowaniu tej do umysłu 3 lub 4 letniego dziecka słówko dorzucić muszę.

Nauka przynosi pożądane owoce, o tyle tylko, o ile na jej nabycie składają się usiłowania uczącego i ucznia; uczący udzielać powinien wiedzę jasną, dokładną, zastosowaną do pojęcia ucznia a udzielać ją z miłością, cierpliwie, łagodnie, nie zmordowanie; uczeń winien ją przyjmować i przyswajać sobie z uwagą czynną i żywem zajęciem, ale obudzenie w uczniu tego stanu sprzyjającego nauce i utrzymanie go w nim, także do uczącego należy. Po dawnej metodzie wtłaczania nauki przemocą niejako i bezlitośnie w umysł dziecięcy, przyjęto inną, żądającą zamienienia nauki w igraszkę, tak aby dziecię zgoła nie wiedziało że się uczy, że pracuje, bez wysiłku wszelkiego przyjmując naukę. Dziś słusznie obrano drogę trzecią, najstosowniejszą wymagania od ucznia trudu, lecz zastosowanego do jego sił i zdolności, podając mu przytem naukę nie jako lekarstwo gorzkie z przykrą wonią, które ma połknąć chociaż mu jest wstrętne, lecz jako pokarm pożywny i zdrowy, który z przyjemnością przyjmie zarówno dla jego pożyteczności jak i dla miłego smaku jego.

Zaczynając np. naukę czytania z tak małem dzieckiem, należy ją uczynić o ile możności malowniczą i zajmującą. W tym celu można wziąść kilka arkuszy z drukowanymi alfabetami, każdą głoskę wyciąć osobno i na osobnym, czworokątnym kawałku kartonu przykleiwszy, zmieszać te głoski w koszyku i wyszukiwać w nim literę którą chcemy dziecku pokazać i nazwać. Znalazłszy ją i nazwawszy, pozwólmy dziecku dobrze się jej przyjrzeć, żądajmy by nam ją nazwało, poczem rzućmy ją nazad w koszyk, wraz z dzieckiem: wesoło zmieszajmy kartoniki w koszyku i wyzwijmy dziecko by ją na wyścigi z nami szukało. Gdy po kilkakrotnem powtórzeniu tego ćwiczenia, dziecię z łatwością głoskę tę poznawać i wynajdywać będzie, zapytajmy czyby ją też i w książeczce poznało, a gdy w podanym elementarzu głoskę znajdzie, ucieszmy się i do dalszego szukania zachęćmy. Urozmaicimy też naukę i zaostrzymy uwagę ucznia, upatrując w każdej głosce podobieństwo jakieś np: w *i* do chłopczyka podrzucającego czapkę w górę, w *b* do fajeczki i te uwagi dziecku wesoło podajmy np. „Szukajmy teraz *f* tego zwiniętego batożka; oho mamy już go ale niestety nie klaska“ albo, „znalazłeś *o*, szkoda że ten obwarzaneczek nie z ciasta, nie z cukrem“ i t. p.

Następnie przysuwa się dwa kwadraciki jeden ze spółgłoską, drugi z samogłoską np. *b* i *a* i uczy się dziecko że te dwie głoski, gdy obok siebie stoją, nazywają się razem *ba*; w miarę jak dziecię składa zgłoski można mu o niektórych z nich rzucić jakieś słówko budzące jego uwagę i zajęcie; dziecię np. przeczyta *be*. Wiesz co tak krzyczy? Baranek krzyczy *beee*; *Ge* przypomni nam gęś. *Mu* krowę; *Pal*, klaśnienie batożka; w ten sposób każda zgłoska przypomni dziecku coś zabawnego, składając nową, oczekiwać będzie niecierpliwie jej znaczenia. Gdy dziecię już wyraz cały złoży, np. *baba* co prędko nastąpi przy nauczaniu przez nas zaleconą metodą; uczący może opisać staruszkę zgarbioną, kaszlącą, zaledwie mogącą chodzić i poczciwą wnuczkę, która ją prowadzi, W ten sposób budząc ciągle dziecka uwagę i zajęcie, nie pozwoli mu się wpadać w ten stan przykry otrętwienia i drzemki, w jakim nieraz dzieci przy nauce siedząc, machinalnie powtarzają słowa uczącego lub ich nawet nie słyszą.

Każda matka, młoda i początkująca szczególnie strzedz się winna pilnie zbytniego gonienia za szybkim w nauce postępem, wiodącego do zbyt szybkiego podawania dziecku, coraz nowych wiadomości, nie dawszy mu czasu przyswojenia sobie dawniej zaczerpniętych. Pośpiech taki wstrzymuje postęp istotny i sprowadza zniechęcenie dziecka do nauki. Wstrzymuje postęp, bo jeżli nauka podawana jest systematycznie, to nowa opierać się musi na poprzednio nabytej, a jeźli ta nie dość jasno pojęta, nie utrwalona i nie zapamiętana, to pojęcie i przyswojenie nowej utrudnione lub uniemożliwione. Zniechęca dziecko, bo gdy przy wykładzie nowego przedmiotu, przyjdzie przypomnieć wiadomość dawniej nabytą i pokaże się że ta zapomniana, uczący niecierpliwi się, czyni dziecku wyrzuty — a tem samem zniechęca dziecko; gdy w istocie uczącego to wina, że postępując szybko i bez przerwy naprzód zapomniał wstecz się oglądać, to jest powtarzać to, czego dawniej dziecię nauczył.

Gdybyśmy sobie przypomnieć chcieli, ile razy uczyliśmy się sami każdego umianego obecnie przez nas przedmiotu, ile dzieł o nim pisanych czytaliśmy, ile razy w innych czytaniach spotykaliśmy o nim wzmiankę, cierpliwie i wyrozumiale powtarzalibyśmy z dzieckiem jedną i tę samą naukę.

Powtarzanie, powinno być dwojakie: 1) systematyczne, zależące na powtarzaniu przedmiotu od początku w porządku w jakim o nim po raz pierwszy mówiliśmy, np. ucząc dziecka dziejów Stefana Batorego, jednocześnie o dzieje początkowe Polskie od Mieczysława I koleją wypadków i panowań pytać możemy dziecko; 2) ucząc już o Stef. Batorym jednocześnie pytać dorywczo o prace, wojny Wład. Jagiełły, Bolesława Krzyw. i t. d. aby się przekonać co dziecię zapamiętało a co uszło jego pamięci i te słabe strony wzmocnić. Nie masz nauki którąby bez powtarzania obejść się mogła; początek każdej lekcyi powtarzaniu poświęcony być winien, i przy

czytaniu zanim nową głoskę nauczymy, lub nowe zgłoski składać, lub nowe wyrazy czytać każemy dziecku, musimy się przekonać czy to czego się dawniej uczyło dokładnie zapamiętało.

Zbytni w początkach nauki pośpiech jest też powodem złego czytania, różnych przy niem nałogów nie dających się wcale przełamać, albo tylko z niezmiernym trudem. Dziecię nie składa jeszcze biegle zgłosek, nie zważając na to każemy mu czytać wyrazy dłuższe, trudniejsze, dziecię zająkuje się, łatwe zgłoski czyta prędzej, przed trudniejszemi dłuższy czas się zatrzymuje lub całe słowa czyta niby śpiewając głosem przewlekłym, zyskując w ten sposób czas do namysłu; albo też przed wyrazem wydaje jakieś niezrozumiałe mruczenie. Chcąc tego uniknąć należy te tylko dawać czytać dziecku wyrazy których zgłoski składowe dobrze mu są znane, powracać jak najczęściej nie do tych samych wyrazów, bo w takim razie dziecię wyucza się ich na pamięć i machinalnie powtarza, lecz do tych samych trudności, to jest do wyrazów odmiennych lecz zawierających zgłoskę, której dziecię nie umie złożyć lub wymówić: np. dziecię nie umie w wyrazie *czepek* złożyć zgłoski *cze*, nie należy wciąż mu kazać powtarzać tegoż wyrazu lecz wynaleść mu, lub złożyć z głosek kartonowych wyrazy *czesać, czerep, czekać, czerpać* i t. d. a trudność tę bez znudzenia przezwycięży. Gdy dziecię już wyrazy czytać zaczyna nie zgłoskując (nie sylabizując) potrzeba mu je kazać czytać bardzo powoli, wyraźnie wymawiać każdą zgłoskę, między każdą zatrzymując się zarówno, w takt że tak powiem.

Zacząwszy uczyć czytać dziecię po skończonym trzecim roku, nie można się spodziewać ani żądać odeń płynnego czytania przed piątym rokiem skończonym; ale i dla dziecka tego wieku niełatwo wynaleść czytanie stosowne, chociaż nauka poglądowa dobrze prowadzona wiele w tej mierze ułatwia, rozszerzeniem pojęć dziecka i przyswojenie mu mnóstwa wiadomości i wyrażeń. Jedynie stosownem czytaniem jest bowiem dla tego wieku, nietylko wielka jasność treści, ale i zastosowanie do umysłu dziecka samej formy. „Wiązanie Helenki“ pani Hoffman jest arcydziełem w tym rodzaju, szkoda że dotąd nie naśladowanem; ona jedna pojęła że do drobnych dzieci należy przemawiać ich językiem, a więc jak najmniej używać zaimków osobowych, bo żadne dziecko nie mówi: „Ja pójdę, ale Jaś pójdzie“ ani „Ona da mi lalkę ale Józia da mi lalkę.“ Mówić do nich jak najprostszemi, pojedyńczemi zdaniami, nie wiążąc kilku myśli, lub części myśli z sobą, w jedną zawilszą całość, przeciwnie stawiać każdą, jako całość osobną. Gdyby drobne dziecię mogło pisać dzieło, a mianowicie swoją autobiografię. nieinaczej napisałoby ją jak p. Hoffman: Wiązanie Helenki.

Mamy wiele Elementarzy, najlepszy może Elementarz Jeskiego, i jego Równianka; mamy powiastki Hoffmana i Schmidta; mamy „Mali ludzie i ich świat“ przez Nowosielskiego; mamy książki do czytania w szkołach normalnych Galicyjskich, Powiastki prawdopodobne przekład z Mace'go, Dzień grzecznego Władzia Chęcińskiego, bajki Jachowicza; wszystkie te dziełka powinny się znaleźć w księgozbiórku dziecka od 5 do 7-go roku życia; ale gdy każde z nich często wymaga tłomaczącego słowa matki, Wiązanie Helenki całe dla dzieci jest zrozumiałe. Bajki Jachowicza, zarówno jak Dzień grzecznego Władzia składają się z ustępów dla różnego wieku przeznaczonych, wybór staranny do uczącego należy. W Przyjacielu Dzieci, w dodatkach dla małych dzieci, jest wiele powiastek zastosowanych do pojęcia bardzo dziecinnych umysłów; wyrządziłby przysługę matkom ten ktoby je wydał osobno. zająwszy się wpierw zmianami w formie i stylu, nie wiem bowiem dla czego rażą one nieraz wyrazami i zwrotami zbyt pospolitemi (*).

Pomimo trudnego wyboru czytać może dziecię od lat pięciu do siedmiu, i za pomocą czytania wiele nabyć wiadomości; w tym już wieku, można już odeń wymagać, zdania sobie i drugim sprawy z przeczytanego; oczywiście nie będzie ono w stanie jednym ciągiem opowiedzieć przeczytaną powiastkę, ale zręcznie pytane, odpowiedziami swemi przekona o ile rozumie to co czytało; np. „O kim czytałeś?“ Dziecię. „O Jasiu.“ „Co mu się stało?“ Dziecię. „Złamał nogę.“ „Dlaczego?“ Dziecię. „Bo wlazł na drzewo.“ „Czy go nikt nie przestrzegł że spaść może?“ Dziecię. Mama go przestrzegała.“ „A dla czegoż lazł.“ Dziecię. „Bo nie chciał mamy słuchać.“

Jeżeli Matka chce widzieć dziecko robiące postępy w nauce, uczące się chętnie i wesoło, niech nikomu nie powierza początkowej nauki dziecka; niech je uczy sama, niech wie że zaledwie miłość Matki uzbroić może w niewyczerpaną cierpliwość, łagodność, wyrozumiałość, jakich to zadanie wymaga, a więc jakże ich żądać od obcej kobiety albo mężczyzny! *(d. c. n.)*

LIST SZOSTY

DALEKI ZACHÓD

w Ameryce północnéj

PRZEZ

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Telegramy owe, zjawiające się nagle tuż przy kolei, domyślać się kazały iż miedziano-cerzy zamierzyli psotę jakąś nową wypłatać białym twarzom. Wiljam przeto — ile tchu mu stało w płucach, popędził do nadzorcy dworca w Plum Creek, dla ostrzeżenia o zbliżającem się niebezpieczeństwie; zanim jednak dobiegł na miejsce, straszliwa nastąpiła scena, na wspomnienie jakiej wzdrygał się przez długie lata.

Pociąg, w szalonym pędzie biegnący od Wschodu, wpadł raptem na wyjęte przez dzikich szyny, i własną siłą parcia, zgruchotał na miazgę! Gdy ranni okrutne wydawali jęki, a gniewna za powstrzymanie jej nagłe w działaniu para huczała gromko, a robotnicy pomagając niedobitkom jęli się naprawy, zacięta banda Czerwonej Chmury wypadła z kryjówki jak piorun, i w mgnieniu oka, prócz Wilhelma którego zamordować nie chcieli, kilka tylko osób jakim udało się szczęśliwie skryć wśród burzanów, ocalało w tej rzezi straszliwej!

Ale też srogo odpłacono dzikim za rozboje owe; żołnierzom wydano natychmiast rozkaz udania się do sioła dla wyrznięcia w pień większej części nienawistnego pokolenia Su—a nadto, wygnano z obrębu Nebraski ogół mieszkańców Czerwono-skórych — pozostawiając jedynie spokojnych Pauszeów.

Crawford, będący nieszczęśliwym świadkiem tych okrucieństw, nosił przez czas jakiś broń palną ukrytą, choć nigdy mieszać się nie chciał w bójki z oddziałem Czerwonej Chmury; po zakończeniu zaś wojny objął w posiadanie 160 akrów gruntu, jako żołnierz walczący w służbie rządu, drugie zaś 160 na mocy praw obywatelstwa które posiadał.

Gospodarstwo szło mu wcale nie źle, sprowadził więc krewnych kilku z Anglji, nakupił maszyn, pojął małżonkę, a dziś ugaszczał mnie w nie szpetnem domostwie, o sześciu izbach, gdzie większa część sprzętów dość skromnie wyglądała, gdyż własnemi zbudował je rękami.

Bawialnię tylko (parlor) ustroił sprzętami sprowadzonemi z Chicago jakich by u nas nie powstydził się zamożny dom szlachecki. Znajdowały się tam kanapki, fortepian, na którym pani domu, a czasem i moja towarzyszka podróży brzdąkały, był piec dość ładny o drzwiach ze szkła grubego, przez które płomień ogrzewał mile i oświetlał wesołą izbę.

Wieczory w listopadzie chłodnemi bywają zazwyczaj w Nebrasce, siadaliśmy przeto w okół jasnego ogniska, kiedy Wiljam prawił nam o Chmurze Czerwonej, ja zaś o świeżej wystawie Wiedeńskiej, o pysznych widokach Szwajcaryi i o północnej Australji. Trzy takie miłe spędziłem tu wieczory, a marzyłem czasem iż znajduję się w gronku wesołem współrodaków drogich, mimo że gawędkę toczono w angielskim języku: złote bo też znalazłem serca w piersiach obcych dla mnie.

Za dnia odwiedzali Crawforda sąsiedzi, konno lub na wozach, a byli nimi ludzie przywykli do nieskończonego robienia wzajemnych zamian na rozmaite przedmioty — bo wśród puszczy sprawy podobne służą mieszkańcom wprost do zabicia nudów. Gdy jednak całkowitą osadę tutejszą składało wykształceńsze towarzystwo Szkotów, czy Anglików, jacy niezbyt dawno przybywszy w te strony a odpowiednie posiadając fundusze, działalność gospodarczą w uczciwy rozwijali sposób, nie spotkałem tu więc oszustwa któremu przypatrywać się zmuszony zostałem później, obecnie zaś patrzę na owo jakie rozpościera zuchwale drapieżne ramiona w okolicach N. Ulmu, gdzie ferma moja leży.

Gdyby też nie tragiczny koniec stosunków przyjaznych z Wilhelmem, byłbym napewno osiedlił się w pobliżu Plum Creek, tem więcej że różanne a słodkie usteczka kusiły mnie wdzięcznie do przeniesienia się z N. Ulmu do Nebraski.

Ale ciekawość wrodzona i żądza nieprzeparta doświadczania silnych wrażeń nęcąc mnie dniem i nocą — zmusiły do opuszczania tych miejsc przyjemnych. Trzeciego dnia po przybyciu do Plum Creck obsiedliśmy we czworo piec którego blask czerwonawy palącej się kukurydzy, nadawał ścianom izby, a i nam sennym czarodziejską jakąś barwę; Wiljam, podtenczas zdjął fajkę z półki, oczyszczał ją, przedmuchiwał i zapalał z tak nadzwyczajną ostrożnością, iż zdziwiony postępowaniem jego, odezwałem się:

— Dla czego obchodzisz się z nią tak delikatnie jakby z relikwią?

— Cenną bo dla mnie jest pamiątką—odrzekł—wręczył mi ją Czerwona Chmura w owym właśnie dniu, gdy wspaniałomyślnie darował życie bezbronnemu włóczędze, a zapytawszy czy używam tytoniu, i po usłyszeniu twierdzącej odpowiedzi z dodatkiem iż nie miałem pieniędzy dla nabycia tego przyrządu ani tytoniu, ofiarował mi gliniankę indyjskiego wyrobu; po raz to pierwszy zdarzyło mi się ujrzeć podobną bezinteresowność Indyanina.

Po kilku jednak latach żałować zaczął widocznie podarunku uczynionego w chwili wzruszenia, bo spotkawszy mię na przystanku kolejowem, przypomniał o fajce owej tak niespodziewanie, iż nie wiedziałem co mu odpowiedzieć.

— I cóż mówił dalej?

— Wyrazy jego brzmiały w ten—mniej więcej—sposób. Biały człowiek przybył niegdyś do ogniska saszemowego zgłodniały i nie posiadający fajki (kalumetu), nakarmionym więc został i zaopatrzonym w takową. Dziś biały został Saszemem u swoich, jak widzę po wygalonowanem mundurze, podobnem do tego jaki nosił Saszem Wielki kiedy odwiedzałem go a zapomniał o wdzięczności!

(*) Zarzut ten zdaje się nam zupełnie niesłuszny, poważając jednak zdanie szanownej Autorki, pozostawiamy go bez zmiany. *Redakcya.*

Za Saszema poczytał mnie z tego powodu iż służyłem ówczeście w wojsku, nosząc mundur sierżanta, jaki ma zwykle błyszczące naramienniki, podobne nieco do generalskich.

— I wynagrodziłeś go zapewne, bo znam twoją pamięć doznanych usług, ale co dałeś mu dla okazania wdzięczności?

— Kilka funtów prochu i ołowiu, a kiedy je w garść pochwycił, dostrzegłem jak błysnął ślepiami znajdując się naraz posiadaczem tylu drogich rzeczy w odwet za lichą fajczynę, a raczej kamionkę wyciosaną z gliny miłą rączką staruchy Czerwonoskórej.

Dowód tej chciwości dziwnie odźwierciedla się w obec miłosierdzia z jakiem Czerwona Chmura odważył się darować mu życie, karmił i częste na cześć jego przybycia wyprawiał uczty. Chociaż co prawda dziwić się temu nie można, surowi wychowańcy matki-przyrody powszechnie noszą w sercach taką mieszaninę szlachetnych uniesień i podłych chuci.

— Wiesz co Wilhelmie? rzekłem—wielce rad byłbym poznać Czerwoną Chmurę.

Żyłka, ciągnąca niektórych ludzi do wieczystego poszukiwania coraz to nowych przygód czy wrażeń, nie traci nigdy w piersi byłego górnika magnetycznej swej potęgi — mimo więc nalegań małżonki i krewnej by nie opuszczał domu w tak późnej jesieni, ułożyliśmy wraz planik dwutygodniowej wycieczki do pogranicza Nebraski i prowincyi Dakoty głównej siedziby Indyan-Su.

Bill upewnił mnie, iż choćbyśmy nie napotkali tam Czerwonej Chmury, łacniej nam przyjdzie dowiedzieć się gdzie przebywa, a nadto, że Indyanie ci tak spokojnie zachowują się już teraz iż żadne grozić nam nie może niebezpieczeństwo.

Dowiedz się najpierwej czytelniku, iż Nebraska położoną jest w dolinie Kordylijerów,, a wokół niej leżą prowincye: Colorado, Vyoming, Monta oraz Dakota. Trzy pierwsze przecina łańcuch gór Skalistych, a górnicy zaludniają liczne ich osady, wciąż zmnażające się z przyczyny obfitych kopalni złota, miedzi, srebra i wielu innych kruszców; Dakota zaś — step, zimny jak wyższa Syberya — i niczem nie przynęcający białych, główną dziś jest dziedziną Czerwono-skórych, z pomiędzy których pokolenie Su największy zajmuje tam obszar.

Na wschód i południe Nebraski leżą ludne i pełne już miast i rolników Stany Jowa i Kauzas.

O pierwszym już wam wspominałem — o drugim zaś powiedzieć mogę iż zbyt jest ciepło-wilgotnym, więc obfitującym w trawiące zimnice, by zdołał przywabić wędrowca obznajmionego z krajami podzwrotnikowemi. Przeciwnie znowu, dla myśliwca nader jest ponętnym, w nim największe mnóstwo bytuje okazów z pięknego państwa królowej Fauny, przeważnie zaś roją się całemi massami, bawoły i łosie stepowe, jakie zwałem tu ciągle elkami, zwierzyny jadalnej na całym prawie obszarze Ameryki północnej. Tam też gromadzą się corocznie indyjskie pokolenia, które zapasy zimowej mięsiwa zbierają przeważnie wzdłuż wybrzeży koryta rzeki Rzeczpospolitej.

Dakota najdzikszą jest pewnie ziemią, lecz za to najmniej rozległą w nowej mej ojczyźnie: w jesieni złośliwy pół-bożek Eol zaczyna już wydymać olbrzymie policzki dla wysłania na te obszary mroźnego podmuchu i miota wciąż burze ze śniegami, niemiłosiernie dokuczając biednym ludziskom. Szczególna jednak tym razem zima, poczęta w końcu zaledwie października a zamarła, w końcu listopada — zachęciła Williama do podróży, w przebiegu bo lat długich włóczęgi po stepie przekonał się, iż przedwcześnie powstałe huragany lekką rokują zimę. Wreszcie jak on tak ja nie lękaliśmy się wypadków, dążąc raczej zawsze ku poszukiwaniu niebezpieczeństw.

Nazajutrz więc zrana, ułożywszy tłómoczki, w sposób australijski, z kilku koców, mojego piżmowego futra i płaszcza ze skóry bawolej jaki do Wilhelma znowu należał, nieco świeżej bielizny i podręcznych drobiazgów i tak przybrani, pożegnawszy miłe gosposie, udaliśmy się do dworca kolei żelaznej o trzy mile odległości położonego.

Po kilku dniach jazdy szynowej znaleźliśmy się nareszcie między ludzkiemi twarzami, w mieścinie Platta City, leżącem na zbiegu dwóch ramion Platty północnego i południowego.

Pierwsze z nich wyłaniają się z niedostępnych wąwozów Vyomingu, drugie wyradza łono kamieniste olbrzymów Colorado obfitujących w srebro.

Po kilku znowu godzinach przybyliśmy do Inlesburg gdzie pomieszczono warsztaty tej wielkiej kolei dla naprawy maszyn i karet. Spora to i dość ważna mieścina pod względem ruchu; odgłosy dzwoniących młotów przywodzą mi na pamięć fabryczne grody Wschodu — a jednak, wyjrzawszy za miasto, o kilkaset już kroków oko twe spotyka ze smutkiem step głuchy, nieprzejrzany, uszy zaś dochodzi ponure wycie szakala.

Cała droga z Plum Creek do Inlesburg już to nad brzegami Platy — osłonionemi na całej prawie długości gęstą knieją — już po stepie, między dwoma jej ramionami, nader zajmujące widoki przedstawia rozweselonem oczom wędrowca. Na niektórych przystankach Indyanie natrętnie dopominają się u podróżnych o tytoń, pieniądze, czy jakikolwiek datek byleby wydrwić coś mogli od bladej twarzy, a oddają się tej żebraninie bez sromu i nie z potrzeby ale z próżniactwa wrodzonego.

Nałóg ów wykorzenionoby może z czasem, gdyby Czerwonoskórzy nie byli pewni tak łatwego zarobkowania, i nieotrzymywali wcale, lub bardzo rzadko jałmużnę od przejezdnych.

Dzieje się przecież inaczej: litościwe bo serduszka pań naszych wierzą w prawdziwą ich nędzę i obdarzają nieraz sowicie, jako biedaków— panowie zaś, znudzeni natręctwem obszarpańców, wykupywać się odeń zwykli groszakami. Tym to właśnie sposobem zastęp owych próżniaczych żebraków zwiększa się coraz bardziej.

Przestrzeń leżąca między Plum Creek a Inlesburg tak daleko leży już po za obrębem cywilizacyi amerykańskiej, że spekulantom i Towarzystwom kolejowym brakowało pewnie dotąd czasu do ochrzczenia przystanków owych szumnemi imionami, nie spotkałem też nigdzie już nazw Rzymu, Genui, czy nawet Edenu i t. p.

W Inlesburgu zatrzymaliśmy się dla odszukania trzeciego ochotnika do podróży w stepie i wynajęcia koni; towarzyszem tym był dawny przyjaciel Wilhelma, inżynier dzielny, myśliwiec i zapalony razem miłośnik włóczenia się po dzikich okolicach kraju, z którym już od dawna wybierali się na podobną wycieczkę przyspieszoną teraz z powodu mego przybycia.

Zakupiwszy więc odpowiednią ilość bawołów oraz koni, puściliśmy się rychło w drogę. Do granic Dakoty liczą —prostej linji—mil angielskich 150. Przepłynąwszy na drugi brzeg Platy, w pierwszej już dobie zwróciliśmy ku północy, radząc się słońca i kompasu.

Do uwiązywania na odpoczynek nocny koni i mułów, mieliśmy pouczepiane do siodeł kije okute w jednej z kończyn, niby laski służące do wdzierania się na góry, na noc zaś wbijaliśmy je w ziemię i przywiązywaliśmy do nich nasze muły i konie za pomocą długiego na stóp 30 *lasso*. Tym sposobem przed ułożeniem się do snu wygodnego, konie nasze nakarmić się mogły do syta.

Gdy więc noc zapadła, uzbieraliśmy ilość potrzebną bawolego gnoju i suchej trawy, a wydeptawszy duże koło w burzanach rozniecili ognisko piekąc przy niem praśne placuszki na sposób australijski, z wielką jednak ostrożnością ażeby nie dopuścić zajęcia się stepu, co w tej porze roku nader łatwo stać się może: nie potrzeba więcej nad przyłożenie zapałki do ziemi ażeby cała puszcza stanęła w płomieniach, póki tonie Platy, nie powstrzymałyby szalonego pędu rozhukanego żywiołu.

Po przełknięciu z gustem skromnej wieczerzy, rozpostarliśmy koce, narznąwszy trawy dużemi nożami, zwanemi tu *bowie knife*, a służącemi do krajania mięsa, ścinania drzewek czy burzanów, do wyrabiania różnych narzędzi, do ręcznej walki.

Przy fajce i pogawędce większą część nocy spędzić zmuszonymi byliśmy, spać bo tu nie podobna prawie z przyczyny dokuczliwego zimna na jakie lichy ogień nie wiele pomaga, a choć który z nas usnął wreszcie snem zmożony, to się wnet przebudził dzwoniąc zębami.

Wedle znanego zwyczaju nie zaniedbujemy na wędrówkach stepowych zdjęte z nóg trzewiki obracać do góry podeszwą, aby deszcze lub śniegi padające często rankami, nie dostały się do środka.

Przez trzy dni posuwania się raz jedyny tylko mieliśmy szczęście znaleść nieco drzewa, przy źródle potoku Wilczego (Loup). W tej to miejscowości, żyje kilku traperów mieszczących się w chatach skleconych z belek zaledwie po wierzchu obrobionych: widziałem u nich skóry wyder, tumaków *minkami* tu zwanych oraz bobrów. Jeden z traperów pokazał nam szczątki osady bobrów; grobla na rzeczułce i resztki chat istniały, lecz te pracowite zwierzęta zaginęły tu oddawna, żyją tylko obecnie daleko na północy, aż w posiadłościach angielskich.

Nazajutrz przebyliśmy rzekę Nabriarę, także ustrojoną w drzewa brzegami, wśród których mieści się dość zwierzyny. Napotkany tu strzelec, brodaty, rozczochrany i niechlujny chłopczyna, uraczył nas plackiem kukurydzowym i pieczonem mięsem bawolem. W chacie jego widzieliśmy dorodną i młodą niewiastę Indyankę, która zajmuje się garbowaniem skór i futer. Kilkoro znajdujących się tam dzieci, krwi mieszanej, na widok nasz skryło się z przerażeniem pod stoły i ławy. Osadnicy zamieszkujący tę miejscowość nie wyróżniają się niczem prawie od Czerwonoskórych sąsiadów amerykańskich.

Co do zwykłego ich uzbrojenia, widziałem sztućce do tego stopnia ciężkie, iż zaledwie podźwignąć je zdołałem, a kalibru małego; pomimo to strzelają doskonale i każdy z osadników trafia nim nieochybnie w głowę, aby nie przedziurawić futra. Wiljam Crawford ręczył mi że traperzy zabijają kulą bobra o 100 kroków, bawołu o 200; kulami też godzą nawet w ptastwo jadalne—śrutu nie używając zupełnie.

Każdy z nich mógłby wiele opowiedzieć o morderczych zapasach z Czerwonoskóremi, gdyż przed parą zaledwie laty, toczono jeszcze ciągłe a bezużyteczne walki z nimi na tem pograniczu, ochraniając własności od pożaru i rabunków, a Bóg jeden wiedzieć może rychło znowu plemie Czerwonej Chmury chwyci za broń, niecąc mordy i pożogi w tej krainie. Jak ułaskawionym tygrysom tak Indyanom nigdy zupełnie zaufać nie można, obecnie zaś żyje znaczna ich osada nad rzeką Nebriarą i tam orze, sieje, poluje i słucha misyonarzy.

W 10 dni później poznałem podobnych traperów, w miejscach obfitujących w większą jak bobry i tumaki zwierzynę, i później obszerniej o nich pisać będę, pomijając usadowionych na pograniczu. Dakoty, gdzie brak zupełny borów a tem samem i grubej zwierzyny.

Kierunek drogi wzmiankowanej obraliśmy dla tego mianowicie ażeby przypatrzeć i ujrzeć ciekawość geologiczną, która przywołała już w te strony wielu uczonych badaczy. Ja wraz z Wiljamem jako byli górnicy, inżynier zaś jako wielki lubownik nauk przyrodniczych, pragnęliśmy serdecznie ujrzeć to miejsce o którem podobno wiele już pisano.

Na pograniczu Nebraski i Dakoty, u źródeł White Eart (białej ziemi) więc już w kraju Indyan leżą owe Mauvaises terres (złe ziemie), niby zaklęte doliny. Nazwę nadaną przez odkrywców francuzkich przechowano do dziś dnia, mimo to że potęga sztandarów Francyi dawno już upadła w tej stronie miasta.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Z Rzymu.

(Dokończenie).

Miniona noc Ś. Jańska była bardzo ciemna, a choć była to pełnia, gwiazda Dianny, ukryta po za bazyliką, uwydatniała tylko dzwonnicę, dwa minarety po nad bocznem wejściem, posągi fasady i obelisk sterczący niby kamienny olbrzym wśród uroczej ciszy. Całe oświetlenie stanowią kinkiety i świece w lichtarzach stojące na stołach i przed na prędce zaimprowizowanemi barakami, oraz odblask padający od pochodni noszonych przez niektórych przechodniów. W takiem pół-świetle zacierają się charakterystyczne cechy tegoczesnych ubiorów, przeto z pomocą nieco żywszej wyobraźni można łatwo wystawić sobie, że żyjemy w czasach starodawnej Romy i przyjmujemy udział w jednej z tych pogańskich uroczystości, które dziś obchodzi ludność chrześcijańska, nie domyślając się ich początku. Nagle ukazała się na placu gromada grajków na flecie i na mandolinie którą poprzedzał człowiek niosący miedziany bęben, urządzony z próżnego rondla, na którym takt wybijał; można było wyobrazić sobie że patrzymy na obchodzoną przed wiekami „*Quinquatriae minusculae*“ poświęconą czci Minerwy. Te ciasteczka i placuszki porozkładane po stołach, w pośród wiązanek goździków i lawendy, mogą przywodzić na pamięć owe „Matralia“ ofiarowywane „Mater matuta“ (bogini jutrzenki), lub jeszcze powtórzenie uroczystości (festa nonae capro tinae) na cześć Junony.

Dla mnie przynajmniej, ten tłum zgromadzony na placu Ś. Jana Lateraneńskiego, nie miał najmniejszego pozoru chrześcijańskiej uroczystości, szczególniej już po północy, gdy przeszło 10,000 podbudzonych śmiechem i wesołemi żartami, zaczęli kręcić się i zbierać w gromadki, śpiewać, tańczyć, kupować bukiety, ciastka, a nakoniec pozasiadawszy stoły, zajadali nie tylko ślimaki ale kawały mortadeli i wędzonej szynki, popijając winem Marino lub „Grotta ferrata.“ Właściciele tych improwizowanych garkuchni zalecali nieustannie swoje kramy, jako najwykwintniejsze „trattorie“ krzycząc z całego gardła: „Oh! che lumache! Che ci ho ne-e! Oh! che lumache-e-e-e!“

I nie był to głos wołającego na puszczy, trafił do poczucia plebejuszowskich żołądków—albowiem arystokratyczne zawczasu myślały o sobie i zaopatrzyły się odpowiednio. Na placu przed fasadą stały szeregi pojazdów, a ich właściciele lub chwilowi lokatorowie wypróżniali wesoło dobrze naładowane kosze. Na stopniach bazyliki i u stóp filarów, wzdłuż kraty i pod kolumnami, zebrały się gromady epikurejczyków. Zamiast obrusów i dywanów, porozkładali płaszcze i szale, i kamienne te stoły oświetlili rzędem świeczek woskowych lub stearynowych, które przylepiali nakapaniem wosku czy stearyny na kamień. W niejakiej odległości grupy taneczników zbierały się w około kogoś niosącego pochodnię, której migotliwy płomień fantastyczne rzucał odbłyski.

Sprzedaż win porozstawianych tu i owdzie, przypominała starożytne bachanalje lub tegoczesne jarmarki; przekupnie ci ustawiają zwykle swój towar w około roztańczonych biesiadników i dobrze wychodzą na tem; najkorzystniejszem dla tego handlu miejscem jest parapet „Scala-Santa.“

Najwydatniejsze sceny tej bachanalji miały miejzce w tak zwanem „Cocchio“ (Kokkio). Jest to jedna z najstarożytniejszych osteryas rzymskich, założona pod arkadami ruin wodociągu Nerona. Oryginalny wchodowy przysionek, sale wewnętrzne, rozległe ogrody rozciągające się po za restauracyą, wszystko to było wspaniale illuminowane; wszędzie porozstawiano niezliczoną liczbę stolików, przy których nie było ani jednego próżnego krzesła. Chcąc wejść, trzeba koniecznie przejść przez kuchnię, a do tej nadzwyczaj trudno było się dostać. Odgłos głosów zagłuszał dźwięk skorup ślimaczych, które dwóch kucharzy nieustannie łyżką przekładali na puste półmiski, a łakotnisie krzyczeli ciągle: „Jeszcze! jeszcze!“ Udało mi się dostać jedną porcyę, i muszę przyznać że mi dość smakowała. Wprawdzie z pozoru jest to potrawa trochę wstrętna, ale raz się przekonawszy i połknąwszy jednego, ze smakiem spożywa się więcej, zwłaszcza popijając te „ostrygi“ dobrem miejscowem winem.

Byłem z kilku znajomymi, a nie mogąc w żaden sposób upatrzeć miejsca w salonach ani w ogrodzie umieściliśmy się na małej wystawce na piętrze, zkąd mogliśmy doskonale widzieć dziwne i fantastyczne sceny z jakich się składa to improwizowane widowisko, trwające od północy aż do świtu. Gdy zadnieje, tańce, sprzedaż wina i ciast, ślimaków i kwiatów, wszystko znika w jednej chwili, a aktorzy spokojnie wracają do domów, lub wprost do bazyliki, aby słuchać Mszy św.

Signor Corvisuri, konserwator archiwów rzymskich, trudniący się głównie badaniem i dochodzeniem tych pozostałości pogańskich, uznaje także iż owa nocna uroczystość Ś-to Jańska, jest przetworzeniem się starożytnych „Neptunalia“ podczas których otwierano łaźnie publiczne i przysposabiano wodę lustralną (do ablucyj). W rzeczywistości łaźnie publiczne przy placu Lateraneńskim, jedyne jakie przechowały się aż do wieków średnich, bywały otwarte dla ludu w przeddzień Ś. Jana (San-Giovanni) a co się tycze wody lustralnej, po dziś dzień jeszcze woda do Chrztu św., święcona jest 24 czerwca — co dozwala przypuszczać, że czarownice stoczyły rozpaczliwą walkę podczas poprzedzającej nocy, i pokonane uciekły gdy dzień świtać zaczął.

Teraz, łaskawi czytelnicy, z tej nocnej bachanalji, poprowadzę was do cichej i okazałej pracowni pana d'Epinay, jednego z pierwszych snycerzy rzymskich, w której już nie jednokrotnie mile spędzałem po kilka godzin.

Pan d'Epinay w młodocianych latach nie myślał o snycerstwie, i tylko smutne losy powiodły go z wyspy Ś. Maurycego, aż na cichą ulicę Sistina. Ojciec jego, Francuz z urodzenia, był gubernatorem angielskim kolonji, zdobytej przez Anglików w 1810 r. Po śmierci ojca, smutne okoliczności zniewoliły młodego d'Epinay udać się do Paryża; przybywał bez funduszu, nieznany i bez protekcyi, co tu począć, do kogo się udać, jak stworzyć sobie byt niezależny?... Okropne położenie! trudna rada.

Młodzieniec miał wzniosłą duszę, silną wolę i wytrwałość. „Ha! pomyślał sobie, sprobuję zostać snycerzem; w szkołach modelowałem różne figurki i wyrabiałem z gliny karykatury z moich profesorów, widać więc mam z natury pewne do tego usposobienie. Postarał się i został przyjęty do pracowni Dantau'a; tu pod okiem tak znakomitego mistrza kształcił się lat trzy i nauczył się wlewać życie w martwy marmur. Wtedy zapragnął poznać wielkie dzieła sztuki, chcąc z nich zaczerpnąć natchnienie, i w tym celu przybył do Rzymu, gdzie przebywał dziewięć miesięcy, jako uczeń znakomitego Amici. Nalegania przyjaciół skłoniły go do powrotu do Paryża, lecz nie pozostał w nim długo, trawiony tęsknotą do ojczyzny sztuki. Pożegnał świat paryzki i osiadł stale w artystycznej Romie.

Było to w 1861 r. Długo artysta walczył z biedą i niepowodzeniem, nareszcie bogini Fortuna, która prędzej czy później uśmiechnie się zawsze niemal pracowitym i wytrwałym, dotknęła go złotą swoją laseczką. Piękna cesarzowa austryacka, jasnowłosa księżna Margarita Piemontska, księżna Walji, księżna Marya Badeńska, księżna Teano, ks. Ginetti i kilkadziesiąt najpierwszych dam różnych narodowości, poleciły mu wykonać swoje popiersia. Nie dość na tem, mieszkańcy wyspy S. Maurycego, chcąc uczcić pamięć ojca artysty, który wielkie dla kolonji położył zasługi, w dowód wdzięczności polecili synowi wykonanie pomnika dawnego gubernatora. Z jakąż to dumą artysty i miłością synowską, d'Epinay wykował statuę zdobiącą dziś jeden z placów Ś. Ludwika.

Nie zadługo potem, artysta wykonał znakomite dzieło: Annibala jak dzieckiem jeszcze będąc broni się orłowi. Dziecię Amilkara ściska drobnemi paluszkami — które później zatopić miały szpadę kartagińską w łono państwa rzymskiego — silny kark orła, którego szpony kaleczą młodziutkie jego ciało. Fizyognomija chłopczyny wyraża zimną krew i energiją. Jest to jeden z najoryginalniejszych utworów pana d'Epinay; dziś zostaje w posiadaniu księcia Buckingham.

Obecnie artysta cieszy się rozgłośną sławą i dostatkiem. Cudzoziemcy dopraszają się o zwiedzenie jego pracowni, gdyż uboga izdebka nieznanego niegdyś artysty, zamieniła się w muzeum bogate w piękne dzieła sztuki. W pierwszej sali pięciu czy sześciu praktykantów obrabiają złomy marmuru; w drugiej, zwanej salą wystawy, znajdują się dzieła sztuki już wykończone lub na wykończeniu będące i sala *kreacyi* w której artysta, skupiony w sobie, przewiduje w marzeniach swoich piękność idealną.

W tej ostatniej sali łagodne panuje światło; kobierce pokrywające ściany, tłumią odgłos jakiby z zewnątrz mógł dochodzić. Świeczniki, wspaniałe obrazy, rozmaite kosztowne zbroje i broń porozwieszane są po ścianach; tu i owdzie rozstawione w artystycznym nieładzie różne starożytne meble. Tu stoi statuetka Astarte, córy gorzkich fal, a obok tuż para papuci tureckich. Tu z bryły marmuru wyłania się statua, a obok niej stoi Transteweranka, za model służąca artyście. Nie ma on zwyczaju zbyt długo jednym zajmować się i nad jednym namyślać przedmiotem; wykończenie szczegółów zostawia czasowi i nim dokończy jeden utwór, rzuca szkice nowych pomysłów, lub modeluje jakąś fantazyjną głowę Junony, Kalipsa lub Judyty. Nie raz widząc go na sofie przysłonionej firankami zebranemi w górze i nad któremi unosi się cierniowa korona, leżącego spokojnie z oczami wpół przymkniętemi, możnaby sądzić że drzemie lub rozkoszuje się lenistwem — bynajmniej — on wtenczas zatopiony w zadumie, pracuje wyobraźnią nad wytwarzaniem nowych pomysłów. Życie p. d'Epinay jest gorączkowe, oddane marzeniom i pracy.

Powszechnie uważają Włochy za grunt niewyczerpany, na którym sztuki kwitną wśród wiekuistej wiosny. Cudzoziemcy przybywają tu nabywać obra-

zy i marmury w przekonaniu, że artyści tutejsi, szczególniej rzymscy, przechowali święty ogień i geniusz Rafaela i Michała-Anioła, których arcydzieła za wzór im służą. Niestety! mylne to mniemanie, artystyczna Roma zamieniła się dziś w olbrzymi warsztat, w którym dwa tysiące robotników, nakłada farby na płótno i obrabia marmury; zaledwie kilku wybranych wyróżnia się z tego tłumu przemysłowców pędzla i dłuta. Idąc z duchem wieku, sztuka zeszła ze swego podniosłego stanowiska, aby stać się wazalem przemysłu. Nie ma już dziś takich protektorów jak Wawrzyniec Wspaniały i Leon X, są tylko targowiska i drogi zbytu. Kupcy z Paryża, Londynu, Wiednia i Brukselli przyspieszają działalność rzymskich warsztatów, jak ogrodnik kwitnięcie oranżeryjnych kwiatów. Pod tym kramarskim wpływem, malarze i snycerze nie o sztuce myślą ale o prędkiem wzbogaceniu, i wyrabiają obstalowane obrazy, mające być wykończone i zapłacone za dni 90. Do podtrzymywania tego handlu dziełami sztuki, przyczyniają się jednak najwięcej Amerykanie. Przybywają oni do Rzymu dla zakupienia sobie galeryi do domów swoich w Nowym-Yorku, Filadelfji, Bostonie, lub innem jakiem wielkiem mieście, a że się rzeczywiście nie znają, więc głównie chodzi im nie o prawdziwą wartość lecz o wysoką cenę, i dla tego nie raz przepłacają tysiącami dollarów, nędzne płótna lub posążki początkujących artystów. Olśniony debiutant myśli już tylko o produkowaniu dla milijonerów, a taka tuzinkowa praca zabija prawdziwą sztukę.

To co powiedziałem stosuje się głównie do artystów osiadłych a nie zaś urodzonych w Rzymie; tych ostatnich jest najwięcej dziesięciu nawet, w rodzinnem choćby mieście głośniejszą cieszących się sławą. Ale wiadomo że cała niemal Europa dostarcza uczni tutejszej francuzkiej Akademji malarstwa. Jest to bez zaprzeczenia najlepsza dziś szkoła artystyczna w wiecznem mieście, gdzie uczą sztuki klasycznej, według starożytnych mistrzów rzymskich i florenckich. Z artystów francuzkich odznaczają się pp. Blanc, Blanchard, Mercier, Lefebre i Machard. Hiszpanie grupują się około rodaka swego p. Fortuny. Znakomity ten artysta utworzył prawdziwą szkołę akwarellistów; z uczni jego najwyżej stanął Villegas, lecz mało jest znany w Europie, gdyż wszystkie płótna swoje sprzedaje Amerykanom. Z włoskich akwarellistów odznaczają się pp. Simonetti, Rossi, Tasquets. Niemców napływa coraz więcej; ci tworzą osobne kółko, wspierając i podtrzymując wzajemnie. Od śmierci Owewbeck'a tutejsza ich kolonija nie może się poszczycić żadnym znakomitym talentem; wprawdzie ożywieni samochwalczym duchem otrębują po dziennikach wielkie zdolności Ferbach'a, ale nie mogą mimo to obudzić w publiczności uwielbienia dla jego zimnego i pedanckiego talentu.

I snycerze nie umieli uniknąć pokusy amerykańskich dolarów; Włosi, a szczególniej Medyolańczycy, z natury tak wielkim do rzeźbiarstwa obdarzeni talentem, iż poszło w przysłowie że „rodzą się z dłutem w ręku" zapragnęli zrobić majątek na Ameryce. Talent ich odbija się jeszcze w szczegółach, jak w odrobieniu kwiatów, liści, ozdób i materyi, ale poważnej, głęboko obmyślanej sztuki nie znajdzie w ich utworach. Nie umieją czy nie starają się o dokładność rysunku, nie znają anatomji, i ztąd niewłaściwie oddają lub nawet rozmieszczają kości i mięśnie, przez co utworom ich brakuje często prawdy i życia. Bez zaprzeczenia najznakomitszym, prawdziwym artystą jest Dupré; ten pojmuje i szanuje sztukę, a ożywiony gorącem tchnieniem, życie wlewa w swe marmury; lecz on przeniósł się na stałe mieszkanie do Florencyi. Drugim z rzędu jest wyż wspomniany d'Epinay, z pochodzenia Francuz. P. Monteverde umiał być oryginalnym w swoim posągu Franklina. Dalej zasługują na wzmiankę, Hiszpan Sunol i Niemcy, Müller i Kopf. Między Amerykanami jest kilku zdolnych snycerzy, z pomiędzy których odznacza się Reinhardt. Bawi tu także ze dwadzieścia Amerykanek; nie mają najmniejszego wyobrażenia o rysunku, mimo to postanowiły zostać snycerkami. Dopieroż to będą artystki!

W miarę jak polityka coraz szersze w Rzymie zaczyna przybierać rozmiary, ogarniać ludność która dawniej ani nie wiedziała o niej, a intrygi zakłócają dawny spokój i ciszę, wielu artystów, tak malarzy jak rzeźbiarzy, wzorem Dupré'go przenosi się do Florencyi. Jeśli tak dalej potrwa, może w niedalekiej przyszłości kominy fabryk i warsztatów wypędzą sztukę z wiecznego miasta..... szkoda! a jednak znajdą się głosy wołające z tryumfem: Jak to dobrze! uwielbiajcie cuda przemysłu!....

POGADANKA.

Babie lato, ostatni uśmiech życia natury, to jakby marzenia dziewicze snute w wiosny poranku. Płyną one bez końca: przyświeca jem słońce młodości, zapał mnoży i pędzi jak orła w niedościgłe wyżyny: czasem trzyma przy ziemi jak rozszalały parowóz, druzgoczący wszystko co mu zawadza, ale nie ginie na chwilę jedną i nawet w sennym spoczynku, przypina skrzydła by marzącego od świata oderwać. Cudne to sny jak tajemnica wieczności, nieujęte jak woń kwiatu, rozkoszne jak siedziby czarodziejskich wróżek, a ileż w nich ułudy i zawodów nieraz zroszonych gorzką łzą żalu.

Wszak znacie pajęcze nitki unoszące się w fali powietrznej, osrebrzone promieniem słońca? Wiotkie one, puchowate prawie nieważkie, lada dziecina ujmie je w drobne paluszki, a jednak gdy przychodzi pora ich panowania, burza nie śmie szaleć, wicher huczyć, piorun milknie a nawet na lazurze niebieskim obłoczek zwolna przemyka za obłoczkiem, taka cisza i spokój w całem otoczeniu. Witaj więc babie lato! ostatni uśmiechu jesieni i gwaru ptaszęcego, starsza siostro wiosny a skrzętna gosposiu pracy lata. W kobierzec ziemi tkany z pierwiosnków, zieleni i fijołków, pyszniący się krasą róży, urodą kłosów i wytrysłych z kwiatu owoców, na uciętem ścierniu i obnażonych łodygach, rozpuścisz siatkę białej mgły...

Ostatni to dar słonecznej pory, ostatnia godowa szata przepychu natury.... gdy minie, szum wiatru strąci resztę poschłych liści, trawy zżółkną, kwiat zamrze, chmury zalegną wyżyny, plusk z chłodem wejdą w dziedzinę władzy, pocieszając tem jedynie że nas minęły burze podobne do szwajcarskich w Genewskim kantonie, które sypiąc bryłami lodu zabijały wszystko co żyło, ptastwo, zwierzęta, nawet ludzi, a potokami deszczu niszczyły całoroczny plon rolników.

Klęska to straszna, ale na wszystko znajdzie się rada, gdy serce z rozumem razem idą w parze. Znalazła się i dla dotkniętych tak strasznem zniszczeniem.

Za przykładem jednego z zamożniejszych obywateli p. Gustawa Rewilliod, uwalniającego od opłaty całorocznego czynszu dotkniętych powodzią, wynoszącego kilkakroć sto tysięcy franków, poszli i inni właściciele, a gdy do daru tego przybyły składki zbierane w całej Szwajcaryi, straty w zupełności pokryte zostały. Czyż więc jest Szwajcarya biedną, jak ją zwykle nazywamy patrząc na skały i góry lesiste sterczące na jej powierzchni?

Wzór ten samopomocy nie zostaje bez naśladowników. W Poznaniu już od lat dwóch założony bank pod nazwą Westa w celu wzajemnego zabezpieczania się na życie, tak się pomyślnie rozwija, że jest wszelka pewność, iż po upływie zakreślonych lat członkowie jego nie tylko mieć będą dożywocie stosowne do wysokości opłacanej składki, ale i stały równy mu dochód z procentów od oszczędzonego przez bank kapitału. Zachęceni tem powodzeniem mieszkańcy, mają podobne utworzyć stowarzyszenie, od klęski ognia, gradobicia, nieurodzaju, aby korzyści stąd otrzymywane nie stawały się własnością kilku spółkowych kapitalistów, ale spływały na cały ogół do towarzystw tych należących.

U nas takie ekonomiczne działanie inaczej jest cokolwiek pojmowane, i niedawno dość ożywione prowadzono w dziennikarstwie rozprawy, dowodzące wyższości stowarzyszeń kilku kapitalistów nad zbiorowe wzajemne ubezpieczenie. Doświadczona niby niezaradność wielu była tu punktem wyjścia dla obrony przedsiębierców. Interes przedewszystkiem, powiada nowo wytworzone przysłowie niezmiernie charakterystyczne, któż nie schyli głowy przed tym wszechwładnym bożkiem cywilizacyi XIX wieku.

Niedawno Kaliszanin rozwrzeszczał wiadomość że pewna panienka sprawuje w Wilczogórze w Konińskim obowiązki pisarza przy Wójcie: prasa Warszawska powtórzyła tę wiadomość; do Kuryera znowu Codziennego doniesiono, że u pana P. w Siedlcach obywatela poważanego powszechnie, na zebraniu gości w dzień imienin żony zbierano składkę na pogorzelców. Obie te wiadomości były prostem kłamstwem: odwołano je też natychmiast ale przybyły nowe dowody, że rodzą się u nas bez zasiewu tacy, dla których podobne żakowskie pustoty stanowią całą treść życia.

Smutne to, ale stokroć smutniejsze wiadomości skrzętnie przez Kuryery podawane a na nieszczęście jak najprawdziwsze, o kradzieżach coraz liczniej w Warszawie się przytrafiających.

Zapomnisz zamknąć drzwi mieszkania, już ci zaraz braknie rzeczy w pobliżu będących; zamkniesz je ale bez straży zostawisz wychodząc na dłuższą przechadzkę, za powrotem zastaniesz drzwi odbite a wszystkie szuflady wypróżnione. Siedzisz w domu, strzeż się! bo stanie przed tobą wysłaniec z listem od znajomego o pożyczkę kilku rubli, drugi ze znakiem od męża o ubranie, trzeci o przejrzenie mieszkania w którem stracił ukochanych, strzeż się, bo to wszystko złodzieje. Stanąłeś przed wystawą sklepową, w ciżbie spotkałeś się ze znajomym i rozmawiasz idąc powoli, w świątyni wzniosłeś się duchem po nad ziemię, połączyłeś się z pogrzebowym orszakiem.. . strzeż się! bo do kieszeni twojej wyciąga rękę opryszek, drugi wtłacza w tłum i obdziera z zegarka i bocznej kieszeni. W sklepach jeszcze gorzej się dzieje. Zasadzki, podstępy, oszustwa prawie codziennie się wydarzają; nie mogąc dostać się do pieniędzy, kradną krzesła z pod wystaw cukierniczych, odbijają zamki nocną porą, odrywają sztaby, wdzierają się kominem, oknem byle szparką, ot i rabunek gotowy.

Praca pozytywistów warszawskich wybornie plonuje: jakiż to tryumf dla ich apostołów.

Z nowin miejscowych ciekawszych mamy kilka. Loterya na dochód Towarzystw dobroczynnych wszystkich wyznań odbyła się w Saskim ogrodzie z wielkiem powodzeniem: dopisała pogoda i liczne zgromadzenie.

Teatra ogródkowe przeciągnęły swój byt do 1-go Października, a nawet chodzą wieści że pan Trabsza pozostanie u nas na stały dalszy pobyt.

Dla pisarzy dramatycznych nie mogących z utworami swemi doczekać się przedstawienia, radość to nie mała. Sztuka zyska na tem pod każdym względem a niemniej i publiczność karmiona do przesytu tłomaczeniami nędznych fars cudzoziemskich.

Przybędzie nam także od nowego roku nowe pismo peryodyczne ilustrowane p. t. *Biesiada literacka*, które taniością ma przewyższać dotąd wydawane. Wydawcy życzymy jak najlepszego powodzenia.

Otóż i koniec pogadanki: pomiędzy ostem i pokrzywą mieszczą się w niej i kwiatki na rodzinnej niwie wyrosłe, małe i niepozorne, obym więc jak najprędzej mógł Wam złożyć w darze pełny bukiet o cudnej woni i barwy jeszcze cudniejszej.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Ser z maślanki.

Przy wyrabianiu ześmietany masła, pozostaje zwykle dość tłusta maślanka, z której można mieć bardzo smaczne serki. W tym celu rozgrzewa się maślanka tak dalece, że się aż przegotuje, poczem odstawia od ogniska, ażeby wystygła. Po wystygnięciu wycedza się serwatkę, a pozostały twaróg włożywszy do woreczka lub prasy wyciska do reszty. Uskuteczniwszy to, soli się twaróg lekko, doda kminku i przerabia należycie. Następnie dolać odrobinę araku (w stosunku na funt jeden pół łyżki), poczem przegniata się masę rękami. Skoro tak wszystko się przysposobiło, wyrabia się pojedyńcze serki—czy to płaskie, okrągłe lub w formie cegiełkowatej, i przechowywa do użytku bądź to w stanie świeżym lub zasuszonym.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani C. B. w Jazowicy. Rubli pięć nadesłane dla biednych pogorzelców odebraliśmy i takowe komitetowi doręczone zostały.

Pani Filipinie W. w Moskwie. Zupełnie się zgadzamy na przesłane nam uwagi co do literatury dla dzieci i młodzieży. Powszechnie przyjęte jest zdanie, że dla ludu i dzieci każdy pisać może, byle w pracy jego była moralność i nauka. Nie ma wątpliwości że bez moralności i nauki, praca ta podjętą być nie może, ale główną tu rzeczą sposób przedstawienia pociągający, i unikanie wszystkiego co umysł czytelnika zamącić może. Czyli aby pisać dla ludu i dzieci pożytecznie, trzeba wielkiego talentu i niezmiernego taktu, aby książka uczyła, moralizowała i bawiła, a jednak przynęcała i robiła siebie więcej pożądaną jak każda inna rozrywka. Zdaje nam się że *Przyjaciel Dzieci* odpowiada wszelkim tym warunkom; nęci i bawi, a jednak naucza i poprawia. Cena zaś jego nadzwyczaj mała, tylko rubla jednego na kwartał wynosząca, ułatwia prenumeratę niezmiernie, gdyż nie ma prawie rodziny dbającej o dobro swych dziatek, któraby kwartalnie nie mogła rubla oszczędzić.

Pani Józefie K. w Żarnówce. Rubli pięć na pogorzelców odebraliśmy i Życie Franklina przesłanem zostało.

Od Redakcyi.

Z kończącym się trzecim kwartałem wydawnictwa **Tygodnika Mód i Powieści**, upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej za kwartał czwarty tak na to pismo jak i na **Przyjaciela Dzieci**, które pod temi samemi warunkami co dotąd i w dalszym ciągu wychodzić będą.

Ponieważ w roku bieżącym tak znacznie się zwiększyła liczba prenumeratorów, iż byliśmy w obawie możności zaspokojenia ciągle przybywających zapisów, czujemy się przeto w obowiązku podać do powszechnej wiadomości, iż nakład na oba pisma powiększyliśmy, i że nowi prenumeratorowie na zawód niedoboru żądanych egzemplarzy narażeni nie zostaną.

Oprócz artykułów i powieści pań: Orzeszkowej Elizy, Marrené Waleryi (Morzkowskiej), A. Dzieduszyckiej, Maryi Szeligi (Mireckiej), pp. J. I. Kraszewskiego, Ludwika Niemojowskiego, Sygurda Wiśniowskiego, L. W. Szczerbowicza, J. Prusinowskiego i wielu innych, mamy przyrzeczone równie współpracownictwo Antoniego Pietkiewicza (Adama Pługa), którego powieść drukować wkrótce będziemy w Tygodniku Mód i Klemensa Podwysockiego, tłomacza dramatu Wiktora Hugo, obecnie drukowanego w Tygodniku.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . . **rs. 1.**
Półrocznie . . . . . . **rs. 2.**
Rocznie . . . . **rs. 4.**

Pismo to coraz większem ciesząc się uznaniem, nie tylko zachęca do nauki i czytania ale wpływa niezmiernie na poprawę moralną dzieci, w czem śmiało odwołujemy się na świadectwo Rodziców, Nauczycielek i Nauczycieli, obdarzających nas bardzo licznemi korespondencyami z wyrażeniem za to podziękowania.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).**

Nadmieniamy przytem, że dla Prenumeratorów obu tych pism, Redakcya załatwia wszystkie sprawunki i polecenia, za małem nader wynagrodzeniem osoby jedynie tem się zajmującej.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie spacerowe. Suknia z wełnianej brązowej materyi vêtement z przodami w formie tuniki fartuszkowej przybrane są plisami i obłożeniem z jedwabnego ciemnobrązowego repsu. Dodane z brzegów białe wypustki o wiele podnoszą efekt ubrania. Krótkie plecy vêtement dopełnione są szerokiemi szarfami z repsu; przy rękawach wysokie wykłady oszyte są ciemną plisą i ozdobione kokardą; przody vêtement zapinają się na guziki z konchy perłowej.

Fig. 2. Ubranie spacerowe. Ubranie to (przedstawiające plecy vêtement Fig. 1) odszyte jest z czarnej materyi repsu i materyi w kratę czarną z białem. Przód sukni przybrany jest szeroką falbaną z materyi w kratę układaną w kontrafałdy; tylne bryty sukni są suto przybrane plisowaniem w kratę, poniżej którego idą dwa rzędy bufowania z czarnej materyi, oddzielone pasem kontrafałdów z materyi w kratę, wązkie plisowanie z tejże materyi dane u dołu sukni dopełnia przybrania. Suknia odszyta jest z materyi czarnej, vêtement z materyi w kratę a obłożenie i szarfy z repsu czarnego. Krój vêtement znajdą czytelniczki w N-rze 40 przy ryc. 5.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 9 (21) Сентября 1875 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 38.

(Dokończenie).

N. 21—23. Sakiewka. Robota wiązana.

Materyjał: mocny jedwab surowy, stalowe perełki.

Zamiast surowego nie farbowanego jedwabiu, można użyć kordonku szarego nicianego. Próbka jaką w naturalnej wielkości załączamy na ryc. 22, przedstawia znany ścieg płasko wiązany, który tu dobrze się odznacza przy kratce z perełek. Do wykonania sakiewki mającej 7 cent. szerokości a 28 długości, bierze się 40 nitek 200 cent. długich, z których po cztery nitki oddziela się i wiąże w supeł na środku. Te supły równo w odstępie 1 cent. ułożone, przypięte szpilkami do wązkiej, twardej poduszki stanowią jeden z poprzecznych brzegów sakiewki, od którego zaczyna się robotę. Najpierw na dwie nitki każdego ze 20 promieni, nawłóczy się po 150 perełek, stalowych, na końcach po nawleczeniu, daje się supły, ażeby perełki nie mogdy się zesuwać, potem zadzierguje się nitki w koło z jednej i drugiej strony poduszki, uważając żeby kratki formowały się równe, tak jak to widzimy na próbce ryciny 22. Przed zawiązaniem węzłów które mijają się jak supełki w siatce, nasuwa się po trzy perełki, a nitki na których one są nawleczone, stanowią raz środek, następnie brzegi promieni.

Ażeby wiązanie szło łatwiej a robota była równiejsza, trzeba środkowe nitki każdego węzła prosto wyciągnąć i szpilką do sukni albo paska przypinać. Po skończeniu brzegi roboty łączą się od spodu. Rozporek zajmujący trzecią część długości, powinien być zostawiony na środku jednej strony sakiewki. Obrączki i wisiadła są stalowe.

Dla pań przekładających robotę szydełkową, podajemy bardzo łatwą próbkę ściegu pikowego, robionego w koło i złożonego z trzech, powtarzających się rzędów. Rząd pierwszy i drugi robi się gładko o. śc., z tą tylko różnicą że w 1-ym zajmuje się za spodnią nitkę oczek poprzedzającego rzędu, a w 2 gim za całe oczka. W 3-cim rzędzie odrabia się muszki w sposób następujący: nabiera się na szydełko 3 pętelki za 3 całe oczka poprzedzającego rzędu, przerabia się jednem oczkiem, razem z zatrzymanem od poprzedniej muszki na szydełku, potem robi się 1 o po· wietrzne. Pierwszą pętelkę na następną muszkę, bierze się w to samo oczko co i ostatnią od muszki poprzedzającej.

N. 24—25 i takież ryciny w N. 37. Malowana tafla szklanna naśladująca palisander i konchę perłową. Do przyozdobienia szkatułek, tek i t. p.

Materyjał: tafla matowo szlifowanego szkła lagrowego 29 cent. długa a 20 cent. szeroka; kawałek grubej tektury odpowiedniej tafli wielkości z wywiniętemi w około brzegami na 1 cent. wysokości; kość palona, okra; oprócz tego farba ze słoniowej kości palonej, kremzerweis, berlinerblau trochę zmieszane z lakierem; pokost pąsowy i zielony, pędzelki i t. p.

Szczegółowe opisy i naukę malowania na szkle znajdą czytelniczki w N-rach z roku 1874 i w N. 1-szym tegorocznym.

Było tam naśladowanie szyldkretu, kości słoniowej i konchy perłowej, dziś podajemy imitacyję palisandru wykładanego konchą. Ryc. 24 przedstawia taflę w zmniejszeniu, a ryc. 25 załącza większą połowę tafli w naturalnej wielkości. W przeszłym N-rze na ryc. 24 i 25 podaliśmy dwa narożniki; też same desenie dają się zastosować i przy innych imitacyjach, malując szyldkret, kość słoniową lub t. p. albo zmieniając tło. Przy naśladowaniu drzewa palisandrowego potrzeba najpierw pociągnąć taflę rzadko rozrobioną farbą z kości palonej tak ażeby była trochę przejrzystą, następnie nim farba zupełnie wyschnie, odznacza się szerokim pędzelkiem gęstą farbą cienie i żyłki naśladujące słój drzewa, poczem po wysuszeniu roboty pociąga się powierzchnię jasną okrą.

Malując taflę potrzeba deseń arabesków dobrze odznaczyć farbą z palonej kości słoniowej jeśli zaś potem zostaną uszkodzone przy robocie tła, to można je wyskrobać ostrym scyzorykiem i starannie poprawić, nim się całą taflę powlecze kremzerweisem dla nadania mleczno-białego cieniu konchy perłowej.

N. 26—27. Bratki. VII. Kwiaty odrobione z włóczki ściegiem dzierganym.

Robotę kwiatów włóczkowych znają już czytelniczki z przeszłorocznych N-rów, dziś załączamy VII z kolei gałązkę bratków. Układ kwiatków i liści przytwierdzonych na łodyżce z druciku, okręconego włóczką, objaśnia ryc. 26, na ryc. 27 przedstawiliśmy w naturalnej wielkości jeden listek bratka.

N. 28—29. Powój niebieski. XIII. Kwiat z piór.



N. 1. Ubranie do konnej jazdy. Przód i plecy. Krój w dodatku N. VI, Fig. 30—34-a.

Potrzebne objaśnienia o przyrządzeniu i malowaniu piórek znajdą czytelniczki w N-rach Tygodnika z 1873 roku. Gałązka powoju załączona na ryc. 28 jest już XIII z kolei; środeczek każdego kwiatka liczy 5 lub 6 kawałeczków pióra około 2 cent. długich, których czubki oblepione są drobniutko pociętem piórkiem, pomalowanem farbą lila. Do takiego środeczka umocowanego na druciku, przytwierdza się pięć listków przykrojonych podług ryc. 29, z boków troszkę posmarowanych gummą i sklejonych z sobą. Każdy listek maluje się od góry na niebiesko; dolna połowa liści żółtawo wyglądająca w powojach pociąga się lekko szafranem, namoczonym w spirytusie; kielich zielony wsunięty od spodu kwiata wycina się z bibułki. Zielone liście przykrawają się podług ryc. 28.

Opis do N. 39.

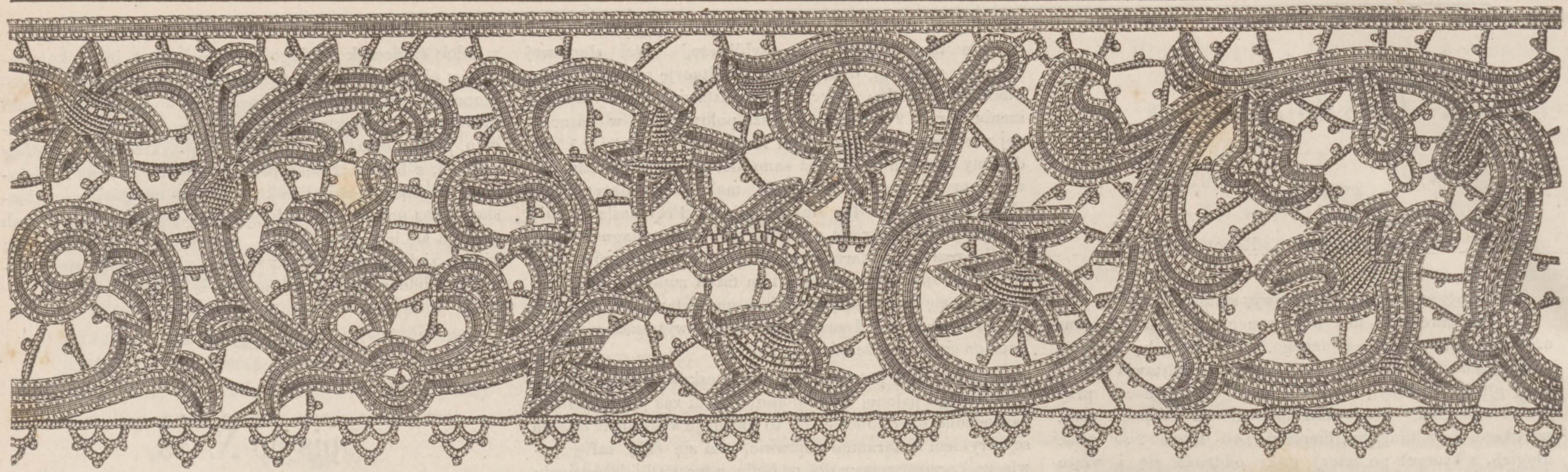
N. 1—2. Amazonka. Krój N. VI, Fig. 30—34, na arkuszu dodatkowym do N. 39 i 40.

Ryc. 1 i 2 przedstawiają z przodu i z tyłu amazonkę z gładką baskiną, z prawdziwego albo z półaksamitu z kołnierzem, mankietami i wypustkami z jedwabnej materyi, lub z sukienka cienkiego, z przybraniem z aksamitu lub materyi. Kolor najwłaściwszy na amàzonkę jest czarny, ciemno szafirowy albo stalowy. Oprócz formy stanika podajemy zmniejszony rysunek i rozmiary spódnicy, która może być w około równej długości, albo cokolwiek krótsza z przodu, lecz zawsze bez garnirunku. Przedni bryt wszywa się w pasek gładko w bocznych klinach można założyć fałdkę podług figury, abryty tylne fałduje się od środka w dwie strony; rozporek daje się z prawego boku pomiędzy klinem a brytem tylnym, i zapina na guziki. Kieszeń wszyta od spodu, może być także widocznie zapięta patką z guzikami. Ażeby przy jeździe konnej spódnica ciągle obciągała się na dół; trzeba ziarka grubego śrótu zaszyć w odstępach 10—12 cent., pomiędzy złożoną we dwoje tasiemeczkę, którą następnie zaszywa się u dołu pomiędzy wierzch i 30—40 cent. szeroką listwę spódnicy. Stanik może być cały z jednego materyjału, albo z modnem dzisiaj, odmiennem naszyciem na plecach. Pod wązkie rękawy i baskinę daje się podszewkę jedwabną. Przy amazonce aksamitnej wszywa się z prawego boku do spódnicy bryt boczny z atłasu lub alpagi, a takiż bryt aksamitny fularem podszyty przyszywa się na wierzch razem do paska lecz nie zeszyty z obydwóch stron podłużnych, ażeby go można było odrzucać do tyłu. Kołnierzyk i mankiety są gładkie webowe, kapelusz cylindrowy średniej wysokości, albo okrągły filcowy, ubrany welonikiem tiulowym lub gazowym i rękawiczki z wyłożeniem dopełniają ubranie do konnej jazdy.

N. 3. Koronka irlandzka do chusteczek, sukien rękawków i t. p.

Koronkę robić można zarówno z białej jak i z czarnej cienkiej i wąziutkiej tasiemeczki; słupki dziergane ozdobione pikotami, łączą figury arabesek, których środki zapełnione są różnemi koronkowemi kratkami.

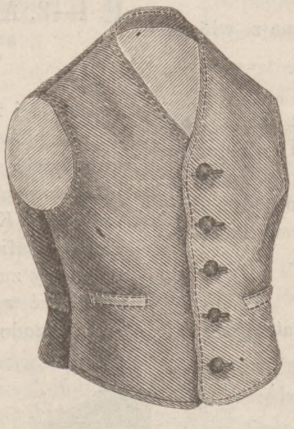
N. 4—6. Kamizelka, kurtka i majtki dla chłopca lat 12—14. Opis podamy w N. 40 Tygodnika.



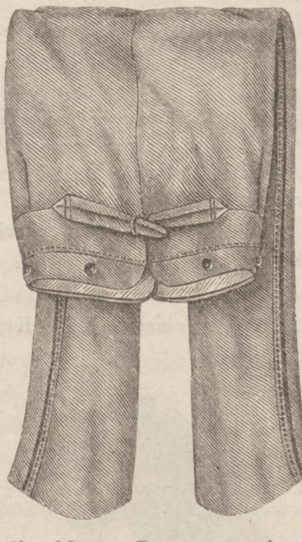
N. 3. Koronka irlandzka do chusteczek, vêtement i t. p.

N. 7. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną dla panienki lat 9—12. Krój N. III, Fig. 13—17.

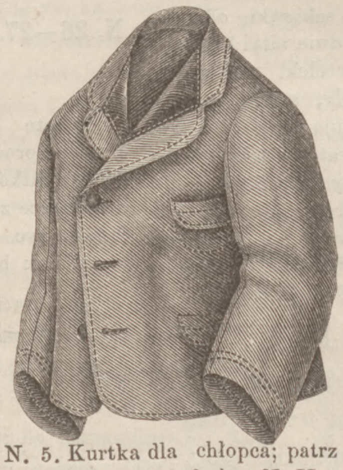
Model sukienki odrobiony z bareżu w paski niebieskie i białe skośne falbany przy spódnicy mające 12 cent. szerokości, były obrąbione rulonikiem i trzy razy przemarszczone przy nagłówku. Tunika zwykłą formą spódnicy miała 37 cent. przedniej, 68 tylnej długości a 180—200 dolnego obwodu, wolant przy tunice miał tylko 7 cent. szerokości. Baskina i szarfy przyszyte do paska pod baskiną oszywa się pliską 3 cent. szeroką, objętą wypustką ze sznureczkiem. Wykrój szyi oszyty bufką z nagłówkami 4 cent. szeroką, a rękawy takąż bufką podwójną.



N. 4. Kamizelka od ubrania którego całość podamy w prz. N-rze. Krój w dod. N. II, Fig. 7—8.



N. 6. Spodnie dla chłopca. Patrz ryc. 4 i 5. Krój w dodatku N. II, Fig. 5—6.



N. 5. Kurtka dla chłopca; patrz ryc. 4. Krój w dodatku N. II, Fig. 9—12.

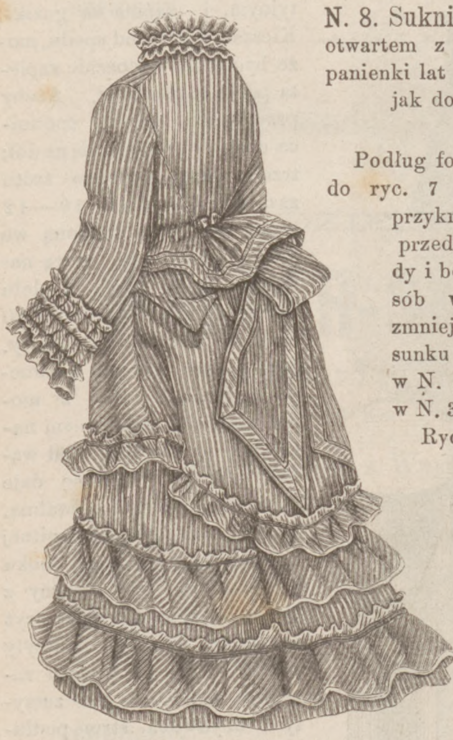
N. 10—11. Dwie próbki ściegu krzyżowego, na poduszki pod nogi, torby lub t. p.

Obiedwie próbki odrobić można kolorami oznaczonemi albo innemi stosownie do gustu dobranemi, włóczką angielską, berlińską lub kastorową, na kanwie odpowiedniej grubości.

N. 12. Garnirunek do sukien.

Garnirunek którego próbkę na rycinie 12 podajemy, służyć może za nagłówek do plisowanych wolantów, przy sukniach wełnianych lub jedwabnych. Można go podług woli zwężyć lub rozszerzyć, przez ucięcie jednego, lub dodanie paru rzędów; jak widzimy układa go się z dwóch odcieni jednakowego materyjału.

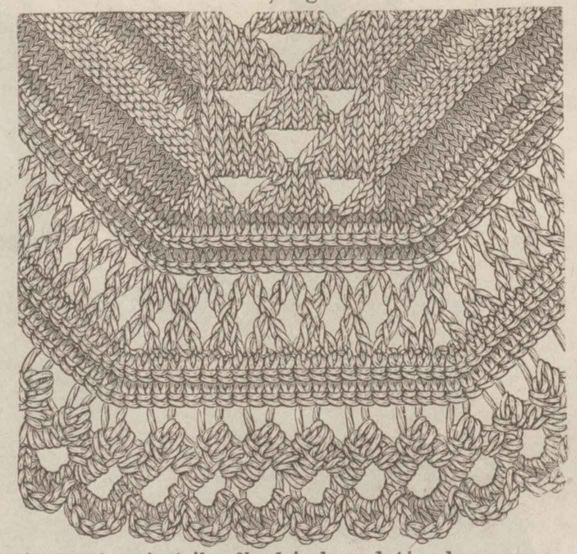
Na modelu cała szerokość garnirunku wynosiła 24 cent. i składała się z trzech jeden na drugi zachodzących rzędów, z tych górny miał 11 cent. szerokości i był przeszyty w górze rzędem pukielków 4 cent. szerokich, z brzegów 1 cent. podwiniętych i przestębnowanych. Następne rzędy 7—8 cent. szerokie nie są stębnowane tylko podwinięte i nieznacznie przeszyte. Fałdki mają 2 cent. szerokości a 1 głębokości.



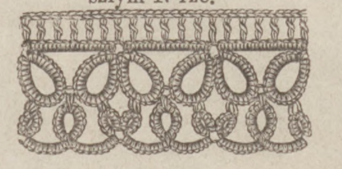
N. 7. Suknia ze stanikiem z baskiną i tuniką dla panienki lat 9—12. Krój stanika w dodatku N. III, Fig. 13—17.

N. 8. Suknia z vêtement otwartem z przodu, dla panienki lat 9—12. Krój jak do N. 7.

Podług formy podanej do ryc. 7 łatwo można przykroić vêtement przedłużając przody i boczki w sposób wskazany na zmniejszonym rysunku do ryc. 27 w N. 32 i ryc. 30 w N. 33 Tygodnika. Ryc. 8 przedstawia ubranie z materyjału gładkiego i w kratę; gładka spódniczka ogarnirowana jest wolantem 15 cent. i bufą 6 cent. szeroką, z takiegoż materyjału, przyszytemi plisami w kratę z gładką wypustką. Nad górną plisą dodany rurkowany nagłówek $2\frac{1}{2}$ cent. szeroki. Przy vêtement w kratę dodane plisy gładkie; rękawy ubrane gładkiem wyłożeniem ozdobionem wypustką i guzikami. Vêtement z przodu zapina się na dwa rzędy guzików.



N. 13. Część napierśnika dla dziecka; całość podamy w przyszłym N-rze.



N. 9. Brzeżek. Robota friwolitowa i szydełkowa.



N. 8. Suknia z vêtement dla panienki lat 9—12. Krój stanika w dodatku N. III, Fig. 13—17.

N. 13. Część napierśnika dziecinnego, całość podamy w N. 40.

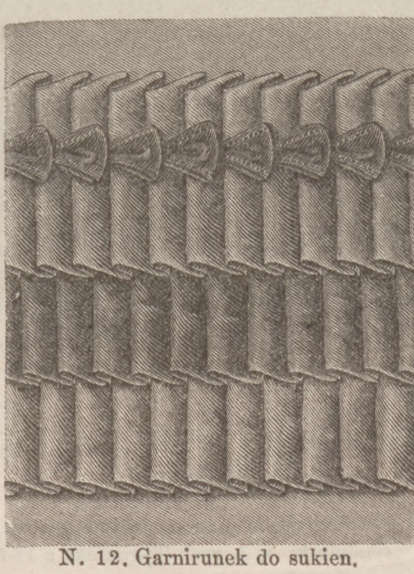
N. 9. Koroneczka z friwolitek, z nagłówkiem szydełkowym.

Koroneczka składa się z dwóch rzędów frywolitek robionych dwoma nitkami; ilość podwójnych węzełków i sposób łączenia za pikoty, wyraźnie wskazane są na próbce. U góry koroneczka obrobiona jest słupkami szydełkowemi.

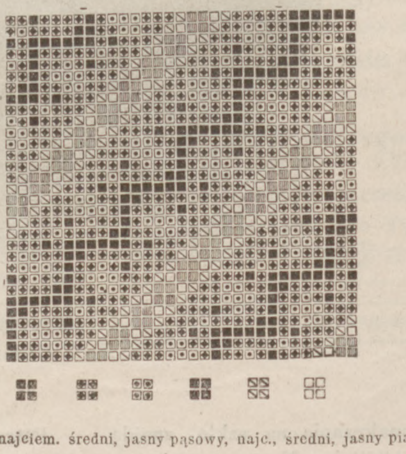


najciemniejszy średni jasny niebieski

N. 10 Deseń do roboty na kanwie.



N. 12. Garnirunek do sukien.



najciem. średni, jasny pąsowy, najc., średni, jasny plas.

N. 11. Deseń do roboty na kanwie.

N. 14—15. Przykrycie na poduszkę do kanapy lub patarafka na toaletę i szlak do firanek i t. p. Siatka gipiurowa.

Ryc. 14 i 15 przedstawiają dwa wzory do cerowania na siatce gipiurowej, której oczy stosownie do woli mogą być drobniejsze lub większe, a nici dobierać trzeba odpowiednio do gęstości oczek. Siatka może być zupełnie biała, albo cerowana bawełną écru na tle bia-

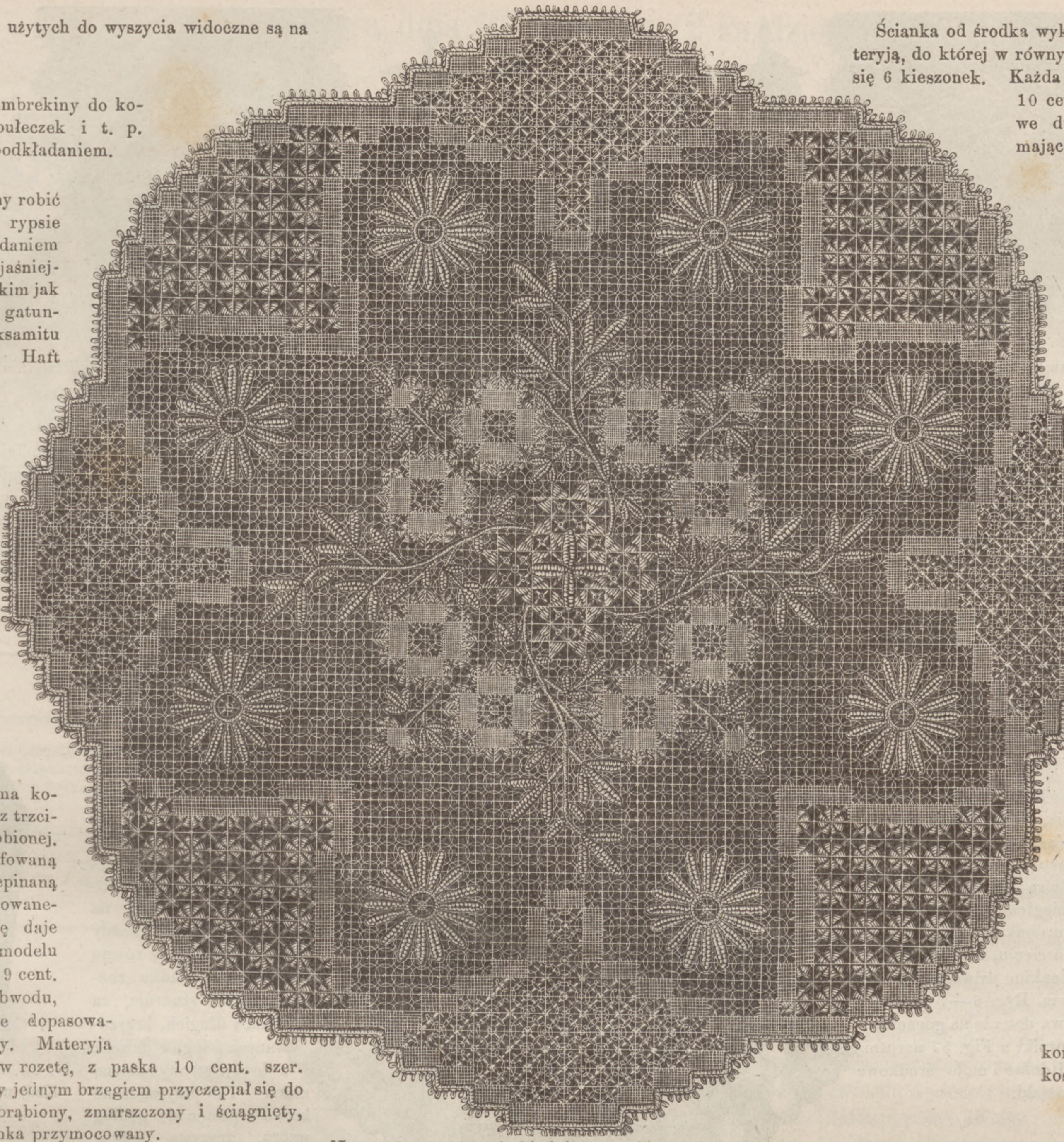
łem. Rodzaje ściegów użytych do wyszycia widoczne są na ryc. 15.

N. 16—17. Dwie lambrekiny do koszyczków, małych półeczek i t. p. Haft kolorowy z podkładaniem.

Obiedwie lambrekiny robić można na suknie, rypsie albo materyi z podkładaniem ciemniejszego albo jaśniejszego materyjału w takim jak tło albo odmiennym gatunku, np. materyi lub aksamitu na suknie lub rypsie. Haft odrabia się kordonkami tego samego koloru do cieniu, albo odmiennemi jasnemi kolorami. Na ryc. 17 tło jest jasne a podłożenie ciemne, na 16 tło ciemne a podłożenie jasne.

N. 18 i 19. Koszyczek do robót na postumencie trzcinowym. Deseń wyszycia ryc. 19.

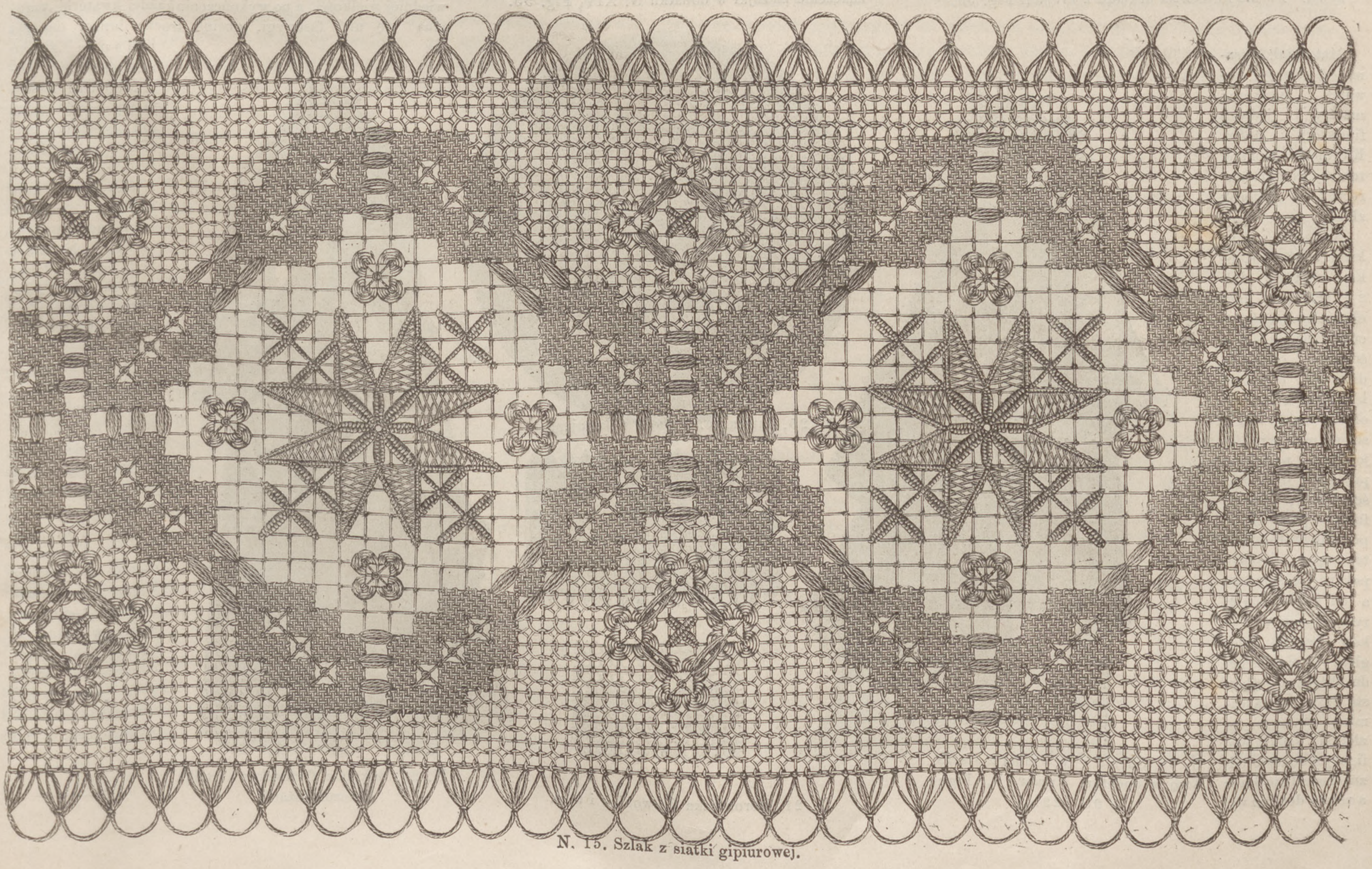
Niezwyczajna forma koszyczka odrobiona jest z trzciny stosownie obrobionej. W środek daje się bufowaną zieloną materyję, przepinaną na krzyż pasami haftowanemi, pomiędzy materyję daje się tekturę. Na modelu ścianka okrągła miała 9 cent. wysokości a 70 obwodu, denko płaskie okrągłe dopasowane było do tej miary. Materyja w denku ułożona była w rozetę, z paska 10 cent. szer. a 70 długiego który jednym brzegiem przyczepiał się do denka, z drugiej był obrąbiony, zmarszczony i ściągnięty, a potem do środka denka przymocowany.



N. 14. Serwetka z siatki gipiurowej. Na meble, stoliki i t. p.

Ścianka od środka wyklejona jest gładko zieloną materyją, do której w równych małych odstępach, przyczepia się 6 kieszonek. Każda kieszonka zajmująca przestrzeń 10 cent., urządzona jest z prostego, we dwoje złożonego kawałka materyi, mającego 9 cent. wysokości a 14 długości. Między materyję kładzie się sztywny muślin; odstającą kieszonkę przyczepia się z boków gładko, a u dołu zwęża przez ułożenie w fałdy. Brzegi górne oszyć riuszą ze wstążeczki $1\frac{1}{2}$ cent. szerokiej. Z wierzchu tektura przykryta jest materyją bufowaną, na którą dodaje się paski zkrzyżowane $2\frac{1}{2}$ cent. szerokie, z sukna ciemno zielonego w drobne ząbki wyciętego; środek tych pasków zdobi wstążeczka jasno zielona w kółka czarne drukowana, 1 cent. szeroka, przyczepiona i wyszyta ściegiem długim i dzierganym, kordonkiem w dwóch cieniach. Można także wyszycie środkowe odrobić naprzemian kordonkiem różowym, niebieskim i zielonym z żółtemi krzyżykami w środku.

Tak przyozdobioną ścianę i denko, przybija się do trzcinek maleńkiemi sztyfcikami. Kokardy z zielonej wstążeczki i grube sznury i kwasty z ciemno zielonego kordonku, dopełniają przystrojenie koszyczka.

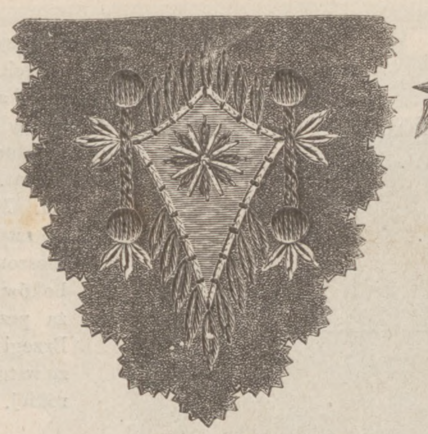


N. 15. Szlak z siatki gipiurowej.

N. 20—21. Koronka do oszycia walików, chusteczek lub kołnierzyków. Wywodzenie i wyszycie tasiemeczką medalijonową na tiulu.

Ryc. 20 przedstawia koronkę odrobioną na najlepszym tiulu białym, tasiemeczką medalijonową, nad którą białą filozelą wyszyte są gałązki. Brzeg w ząbki wycięty zakończony jest pikotami koronkowemi, mocno ściegiem sznureczkowym przyszytemi.

Ryc. 21 podaje węższą koronkę, naszytą czarną medalijonową tasiemeczką na mocnym tiulu czarnym jedwabnym i oszytą czarnemi pikotami.



N. 16. Lambrekina. Haft ściegiem luźnym.



N. 18. Koszyczek do robót.



N. 17. Lambrekina. Podkładanie i haft ściegiem luźnym.

szyta jedwabiem fijołkowym i żółtym.

N. 24. Zasłonka na lampę. Mozajka z materyi różnokolorowej. Forma z oznaczeniem części mozajki Fig. 55 na dodatku.

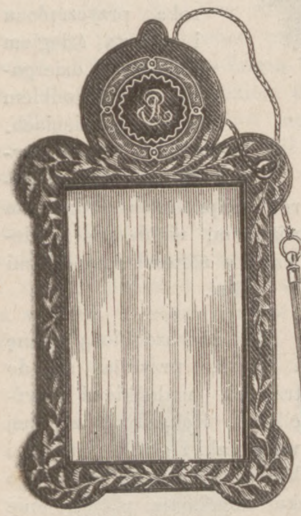
Układanie mozajki z różno kolorowych skrawek materyi jest modne od pewnego czasu i bywa do różnych celów zastosowane. Piękność zależy na umiejętnym doborze rozmaitych kolorów, między któremi koniecznie znajdować się muszą żywe i jasne, oraz na dokładnem dopasowaniu kawałków, które po zeszyciu powinny przystawać gładko.

Zasłonka składa się z sześciu kwaterek w środku których umieszczone jest 6 obrazków św. Apostołów (których właściwiej byłoby i n n e m i obrazkami lub widokami zastąpić). Obrazki kupuje się gotowe i pociąga z lewej strony równo i starannie oliwą, ażeby uczynić je przezroczystemi.

Pojedyncze foremki mozajki wykrawa się dokładnie podług w z o r u z cienkiej tektury, podług której następnie wycina się kawałki materyi, przypuszczając z brzegów równo w koło $^3/_4$ cent. na podłożenie. Potem każdy kawałek układa się równo na tekturze i gładko rozciąga czyli sznuruje, za pomocą długich, krzyżowanych ściegów danych z lewej strony mocną nitką. Tak przyrządzone kawałki pasuje się podług wzoru, zeszywa jedwabiem cienkim ściegiem drobnym okrętką; w miejsce przeznaczone na obrazek wszywa się kawałek muślinu odpowiedniej wielkości, a po wykończeniu każdej kwaterki, przecina się nici fastrzygi, obcina trochę brzegi materyi i p s u j e gładko z lewej strony, potem dopiero nakleja się obrazki gumą płynną do muślinu i zczepia kwaterki z lewej strony i oszywa w koło brzegów czarnym jedwabnym sznureczkiem. Nakoniec pod całą zasłonkę daje się białą fularową podszewkę, brzegi górne i dolne wycina w ząbki i oszywa sznureczkiem czarnym.

Nadmieniemy jeszcze że: chociaż wielka rozmaitość kolorów jest zaletą robót mozajkowych, w układzie jednak wymagana jest pewna systematyczność. W modelu kolory zmieniały się w 6-ciu częściach, w każdej z nich jednak dwa odpowiednie sobie pola jednej formy, były także jednakowego koloru.

(d. n.)



N. 22. Tabliczka do notowania. Narożniki podamy w przyszłym N-rze.

N. 22. Tabliczka do notowania z ramami haftowanemi. Narożniki na ryc. 6—7 w N. 40 Tyg., reszta deseniu na arkuszu z krojami Fig. 57.

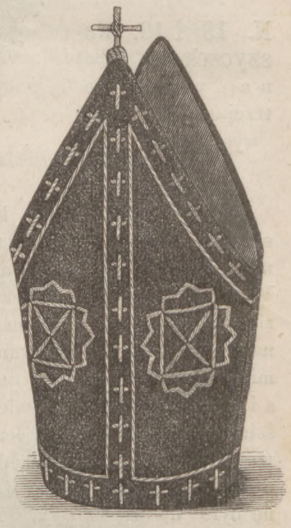
Tabliczka do notowania, którą wiesza się nad biurkiem ma płytę porcelanową a ramy pokryte skórą juchtową, wyszytą ściegiem sznureczkowym, kordonkiem tegoż koloru do cieniu, i sznureczkiem cienkim jedwabnym i złotym. Ryc. 6—7 podaje dwa desenie na górne narożniki a Fig. 57 narożniki dolne i małe środkowe gałązki.



N. 20. Koroneczka do zakończenia woalek, chusteczek i t. p.



N. 24. Ombrelka na lampę. Mozajka z materyi. Krój i oznaczenie mozajki w dodatku N. XIV, Fig. 55.



N. 23. Przykrycie na kinkiet. Krój w dodatku Fig. 56.

N. 23. Przykrycie na kinkiet do lampy. Robota fantazyjna. Forma i deseń na arkuszu z krojami Fig. 56.

Materyjał: aksamit fijołkowy, kawałek fijołkowej materyi, jedwab fijołkowy i żółty. Kawałek cienkiej tektury, cienki sznureczek i bajorek złoty.

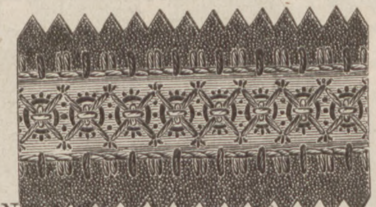
Najpierw w y k r o i ć trzeba z cienkiej tektury, lub z e starych kart obrączkę mającą 2 cent. wysokości a średnicę odpowiednią do objętości kinkieta, t a k o w ą okleić n a d w i e strony materyją fijołkową; następnie przykroić dwie części infuły, podług formy podanej w połowie na Fig. 56, takową z wierzchu pokryć aksamitem a od spodu materyją, złączyć z boków krytym ściegiem i przyczepić do obrączki. Proste linije na aksamicie wyszyte są złotym sznurkiem, figury środkowe odznaczone bajorkiem a reszta deseniu wy-



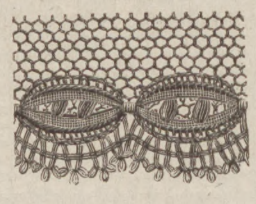
N. 26. Suknia z vêtement z szarfą. Krój w dodatku Numer V, Figura 25—29-a.



N. 25. Patarafka. Robota nakrapiana.



N. 19. Szlaczek do ryc. 18.



N. 21. Koroneczka do woalek i t. p.



N. 27. Suknia z fartuszkową tuniką i szeroką szarfą.